

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Barbara Gordon

FILIŻANKA CZARNEJ KAWY



ISKRY • WARSZAWA • 1970

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Barbara Gordon

FILIŻANKA CZARNEJ KAWY



ROZDZIAŁ 1

Stacyjka była ładna i czyściutko utrzymana, ale taka mała, że czarny napis na białej tablicy KRAMNO wydawał się za gromki, śmiesznie nieproporcjonalny w stosunku do obiektu, którego dotyczył. Filigranowy, jasno tynkowany budynek otaczały starannie pielęgnowane rabatki różowych begonii; dwie zgrabne ławeczki pod osłoną krzewów jaśminu i bzu zapewniały wygodę podróżnym czekającym na pociąg. Kto bowiem chce stąd odjechać, nie może sobie pozwolić na luksus przesiadywania w mikroskopijnej poczekalni: pociągi, i to nawet nie każdy, zatrzymują się w Kramnie tylko minutę i trzeba być z bagażami w pogotowiu blisko toru, aby zdążyć z załadowaniem się do wagonu. Chociaż Kramno to miasteczko powiatowe, władze kolejowe nie widzą potrzeby ani rozbudowy tutejszego dworca, ani przedłużania czasu postoju pociągów. Mało kto jeździ tu koleją. Wsie i osiedla, którym Kramno patronuje, leżą na uboczu szlaku kolejowego i korzystają z komunikacji autobusowej.

Miasteczko zaś samo w sobie nie stanowi wielkiej atrakcji. Los poskąpił mu szansy, jaką zdobyło mnóstwo innych małych miast na zachodnich krańcach Polski. Kramno nie posiada, niestety, żadnych walorów turystycznych ani uzdrowiskowych, pominęły je także śmiałe plany uprzemysłowienia rejonu. Tak więc z poczuciem godności, nie pozbawionej cienia rezygnacji, pełni swoją rolę służebną i opiekuńczą wobec przynależnych do powiatu terenów, zadość czyniąc różnorodnym ludzkim potrzebom.

Jest tu

zatem powiatowa władza, sąd i milicja, szpital i kościół, kilka szkół, Powiatowy Związek Gminnych Spółdzielni, kino, kilka restauracji i nawet klub-kawiarnia, rozwijający dość ożywioną akcję kulturalno-oświatową. Z tym wszystkim Kramno przypomina niesłychanie porządnego człowieka, bezgranicznie uczynnego i użytecznego społecznie, o którego cnotach i zasługach, znanych wyłącznie w gronie osób najbliższych, świat nigdy się nie dowie.

W tym właśnie Kramnie wysiadła z pociągu pewnego lipcowego popołudnia starsza pani, dość niedbale ubrana. A dokładniej mówiąc nie wysiadła, lecz została niemal przemocą wysadzona z wagonu na peron przez energicznego, tęgiego konduktora.

Dokonał tego uprzejmie, ale stanowczo, wygłaszając przy tym do pasażera, wspartego łokciami o ramę otwartego okna i ćmiącego papierosa, kilka zasadniczych uwag:

—
No i widzisz pan, co to za robota być za konduktora.

Za wszystkich myśleć, za wszystkich odpowiadać. A już najgorsze to te niewiasty. O czym taka myśli, całkiem nie wiadomo. Najsam-pierw od godziny żyć mi nie daje, tylko po całym składzie za mną lata i pyta, kiedy będzie Kramno, i prosi, żebym ją uprzedził, żeby wysiąść zdążyła, a jak ja jej powiadam, że to już tu, że czas jej wysiadać, to stanęła jak słup. I ani rusz. Drzwi jej otwieram, a ta stoi. I mamrocze, że się boi. Jakby w wodę miała skakać albo w przepaść, a nie na peron zejść po trzech stopniach. Powiadam do niej:

„Zje kto panią w tym Kramnie, czy jak, bać się nie ma czego, spokojna miejscina”, no i udało mi się w końcu babcię wypchnąć.

Drzwiczki trzasnęły, pociąg ruszył, donośny świst lokomotywy zawibrował w cichym, czystym powietrzu, wypełniającym słoneczny krajobraz poobtykany gęsto ciemnymi poduchami lesistych pagórków.

Gdy ucichł już stukot kół pociągu, kobieta na peronie przemogła zmieszanie, czy też niezdecydowanie, i chwiejnym krokiem przemaszerowała przez poczekalnię. Nieufnym spojrzeniem obrzuciła kilka znajdujących się tu osób: bufetową, kasjerkę, sprzedawczynię w kiosku „Ruchu” i

dwóch młodzieńców, popijających piwo. Zrobiła krok w stronę bufetu, ale cofnęła się. Powtórzyła ten sam manewr w kierunku kiosku

„Ruchu”. Wyglądało to trochę tak, jakby tańczyła menueta. Brak jej było jednak partnera, ani sceneria nie była odpowiednia i strój nie ten, w jakim widuje się tańczących menueta w operze czy na filmie kostiumowym. Widocznie starsza pani chciała ko-goś o coś zapytać, lecz wahała się w wyborze informatora.

Młodzieńcy pijący piwo zachichotali, bufetowa, hoża dziewczyna z wielkim rudym kokiem parsknęła im w odpowiedzi cichutkim śmiechem, przykrywając usta wierzchem dłoni. Może wcale nie śmieli się ze starszej pani, może te chichoty stanowiły nieodłączną część wzajemnych zalotów. Ale starsza pani spłoszyła się. Popatrzyła na nich gniewnie ciemnymi oczami.

Oczy miała dziwne. Chwilami sprawiały wrażenie nie oczu żywych w wychudzonej i pomarszczonej twarzy, okolonej nierównymi kosmykami siwych włosów, lecz dwóch wyciętych w papierowej masce głębokich otworów, na których dnie połyskiwała nieruchoma ciemna woda. Teraz jednak ta martwa czerń drgnęła: tak błyskawica przecina nocne niebo. Chyba było to coś w rodzaju nienawiści. Gdyby miała w ręku laskę lub parasolkę, może uderzyłaby kogoś z chichoczących chłopców. Trzymała jednak tylko torbę. Nagle, jak gdyby przestraszyła się własnej reakcji, zakręciła się na pięcie i oglądając się trwożnie po bokach, dopadła drzwi prowadzących na brukowany podjazd przed dworcowym budynkiem. Przez chwilę mocowała się z klamką, z niespodzianą energią zatrzasnęła za sobą drzwi i ciężko dysząc oparła się o ich futrynę, mając już teraz przed sobą tylko pusty, zalany zachodzącym słońcem plac dworcowy.

—

Szajba babci odbiła — powiedział jeden z młodzieńców, kreśląc znacząco na czole kółeczko.

Cała trójka powróciła do właściwego tematu rozmowy: iść, czy nie iść dziś wieczorem na potańcówkę do klubu. Kasjerka zamknęła okienko i wywiesiwszy kartonik z napisem: chwilowo nieczynne pobiegła do domu, żeby wykończyć obiad dla męża.

Sprzedawczyni w kiosku zabrała się do obliczania nie sprzedanych egzemplarzy prasy. Incydent ze starszą panią wydał

się im wszystkim w tej chwili już zupełnie bez znaczenia.

Dopiero później, gdy całe Kramno mówić będzie o starszej pani.

będą rozpamiętywać i roztrząsać każde jej poruszenie, każdy gest i będą próbowali odgadnąć, o co też zamierzała ich pytać.

Może nawet ktoś z nich pomyśli: „A może nie doszłoby do tego, do czego doszło, gdybyśmy okazali jej życzliwość”...

Na placu przed dworcem stała taksówka, jedna z czterech czy pięciu, obsługujących ludność miasteczka i okolic w wyjątkowych chwilach życia. Jeżeli przez dłuższy czas nikt nie sprawiał ślubu albo pogrzebu, jeśli nikt nie ochrzcił dziecka ani nie musiał odwozić chorego do szpitala — nędznie powodziło się właścicielom wysłużonych warszaw. Bo i gdzie może stały mieszkaniec takiego

Kramna rozbijać się na co dzień taksówką? Od krańca do krańca można je przemierzyć piechotą w pół godziny.

Starsza pani postanowiła jednak skorzystać z ciemnozielonego wozu opatrzonego na bocznych drzwiczkach numerem trzecim.

Wsiadła i zwróciła się do kierowcy lekko zachrypniętym głosem:

—Chciałam... chciałabym pojechać na ulicę Pierwszego Maja.

Kierowca zapuścił motor, ale zanim jeszcze ruszył, obrócił

głowę w stronę pasażerki:

—
Opłaci się to pani? To przecież niedaleko.

—
Kiedy ja... nie znam miasta.

—
A to insza sprawa — mruknął kierowca i pomyślał: Nie moja rzecz, blisko czy daleko, dziesięć złotych też pieniądz —

a na głos spytał — pod który numer na Pierwszego Maja?

—
Pod... pod siódmy — odpowiedziała starsza pani z niechętnym wahaniem.

—Do sędziego pewnie, no nie? — Kierowca był ciekawski i gaduła. Lubił rozmawiać z pasażerami i stanowił chodzącą, a raczej jeżdżącą kronikę Kramna i okolic.

Starsza pani jak gdyby przelekła się:

—
Skąd pan wie?

—
A bo pod ten numer to najwięcej ludzi zawsze do sędziego, znaczy się pana sędziego Muracha, przyjeżdża. No bo do kogo inszego? W tym domu tylko trzy mieszkania. Do Wirkusówny, pielęgniarki, co na parterze mieszka, nie pamiętam, żeby kto przez dwadzieścia lat przyjechał. Do Blinów, co obok sędziego na piętrze mieszkają, także samo.

Mają rodzinę, ale na wsi, zaraz niedaleko, autobusem lepszy dojazd. Blina fryzjer. Zakład ma na piętrze, ale teraz zamknięty, bo Blina na urlopie. W sanatorium. Kobita go zamęczyła, żona znaczy się. Piekielnica...

Całkowity brak reakcji ze strony pasażerki kazał jednak kierowcy przerwać

wywody na temat życia towarzyskiego lokatorów spod numeru siódmego przy ulicy Pierwszego Maja. W lusterku widział

wtuloną w kąt siedzenia postać, która patrzyła na niego nastroszona, czujna, a jednocześnie myślami nieobecna.

Wzruszył ramionami i tak już w milczeniu dotarł wraz z dziwną pasażerką na miejsce.

—
To tu — powiedział, zatrzymując samochód przed różowo tynkowaną jednopiętrową kamieniczką i skasował licznik. —

Osiem złotych pani płaci.

Starsza pani poszperała nerwowo w torebce, wręczyła mu dziesięciozłotówkę i nie czekając na wydanie reszty, obej-rzawszy się trwożnie dookoła, dała nura w głąb sieni ze zwinnością, o którą kierowca nigdy by jej nie posądził.

Kierowca pokiwał głową na poły z pobłażaniem, na poły z litością i pomyślał sobie, że kobieta ma widocznie jakieś wielkie strapienie. W sam raz takie, które nadaje się, by wyznać je sędziemu Murachowi. Może mąż ją bije, może dzieci z domu wypędzają, może posądził ją kto niesprawiedliwie. Wygląda w każdym razie tak, jak gdyby jej z tego w głowie się pomieszało. Ale co jemu, Waclawowi Kociubie, do tego. Ani jej co pomoże, ani poradzi. Zapуścił motor i już miał zamiar ruszyć, kiedy z tej samej sieni, w której skryła się dziwna pasażerka, wynurzyła się postawna postać mężczyzny, ubranego z pretensjonalną elegancją.

—
Poczekaj pan, panie Waciu! — krzyknął mężczyzna, machając gwałtownie ręką.

Twarz kierowcy przybrała wyraz nieograniczonej gotowości do usług. Eustachy Solibor, kierownik miejscowej centrali ogrodniczo-nasiennej, znany był szeroko jako człowiek, nie hodujący węża w kieszeni i świadomy faktu, że każdy lubi zarobić.

Pan Wacio skwapliwie pomógł nowemu pasażerowi otworzyć drzwiczki, które zacięły się, i spytał rzeczowo:

—
Dokąd lecim?

—
Do Kamionek — sapnął Eustachy Solibor, sadowiac się na przednim siedzeniu obok kierowcy. — Wiesz pan — mrugnął szelmowsko do kierowcy, zapalając papierosa i częstując Kociubę — sędziunio zaczyna mi mięknąć. Do tej pory ani gadać ze mną nie chciał. A sprawa moja pojutrze w sądzie.

—
W kółko to samo, o to ogrodnictwo po Wiewiórkiewiczu?

— westchnął współczująco pan Wacio.

Kto by nie znał w Kramnie słynnej i zawikłanej sprawy spadkowej, w której klan Soliborów toczył od lat boje z klanem Wiewiórkiewiczów!

—
Właśnie — oczka Eustachego Solibora zabłysły podnieceniem. Przechylił się w stronę kierowcy i szepnął mu konfidencyjnie na ucho, jak gdyby się bał, że ktoś ich podsłucha, chociaż było to zupełnie niemożliwe. — Mam dodatkowe zeznania świadków. Murach kazał mi jutro — znacząco podniósł palec do góry — przynieść je do sądu i pokazać.

Powiedział, że wnuknie...

Satysfakcja aż rozpieraała go. Puścił gęsty kłąb dymu z papierosa i znów sapnął.

—
Jednemu to się dziwię — pan Wacio potrząsnął głową z pewnym powątpiewaniem, o tyle usprawiedliwionym, iż jego pasażer znany był w miasteczku nie tylko z szerokiego gestu, ale również ze skłonności do bujania ludzi — że sędzia Murach w ogóle o tym wszystkim z panem kierownikiem przed sprawą chciał rozmawiać. I to jeszcze w domu. On nie taki.

Cień niepokoju przemknął przez nieco kanciaste rysy Eustachego Solibora, lecz pycha natychmiast wzięła w nim górę:

—
Phii — nadał się jak paw — nie takie przeszkody brało się w życiu, panie Waciu. Dla Solibora nie ma rzeczy niemożliwych. I nie takich jak pan sędzia Murach... — tu wykonał tęgim ramieniem zakończonym pulchną dłonią gest, który oznaczać mógł wiele. Między innymi definitywne usunięcie kogoś z drogi-

—
No, no — mruknął z podziwem pan Wacio i dodał gazu.

Kamionki to wieś leżąca w odległości około dziesięciu kilometrów od Kramna. Syn Eustachego Solibora gospodarował tam na pięknych kilkunastu hektarach. Ojciec poczuł gwałtowną potrzebę podzielenia się z jedynakiem radosną wieścią o niespodziewanym i być może pomyślnym obrocie sprawy. Pan Wacio został poproszony o poczekanie na pasażera, a także mile poczęstowany przez gospodynię dobrą kolacją.

W ten sposób pan Waclaw Kociuba nie tylko nie mógł

uczestniczyć w dalszym przebiegu zdarzeń, jakie się rozegrały przy ulicy Pierwszego Maja, ale i głosu jego zabrakło, gdy zaszła konieczność wyjaśnienia, w jakim celu starsza pani przybyła do Kramna.

Ulica Pierwszego Maja to właściwie dość szeroka aleja, położona nieco na uboczu od centrum miasteczka. W miejscu, gdzie stoi dom pod numerem siódmym, krzyżuje się ona z innymi dwiema uliczkami tak, iż tworzy się tu coś w rodzaju niedużego placu. Jedna z tych dwóch uliczek, zwana Gołębią, odwiedzana bywa przeważnie z tej racji, iż mieści się tam Centrala Ogrodnicza i Nasienna, kierowana sprawną ręką i myślą Eustachego Solibora. Drugim, interesującym Kramno obiektem na tej ulicy, jest mały domek, mieszczący się naprzeciwko centrali. W domku tym, drewnianej chałupce z dużą werandą, otoczonym rozległym ogrodem, mieszka doktor Piotr Lebioda, znakomitość i zarazem osobliwość miasteczka.

—
Doktor Lebioda? — mówią jedni zapytani — oho!

Ma to oznaczać, iż to nie byle kto.

—
Doktor Lebioda? — powiadają inni — ech!

W tym zaś wykrzykniku zawiera się równa porcja pobłażania, co wazenia sobie lekce autorytetu miejscowej sławy. Cóż to może być bowiem za naukowa powaga, która nie chce zarabiać na prywatnej praktyce, portkami świeci na kilometr i potrafi z gromadą dzieciaków włóczyć się godzinami po okolicznych lasach i łąkach.

No i nie żeni się, co go ostatecznie dyskwalifikuje w oczach wszystkich miejscowych panienek, starych panien oraz wdów. I ich rodzin, oczywiście. Tyle jego win, ile samotnych serc kobiecych liczy Kramno. Tyle samo razy powinien by się był

ożenić, nie zważając na nasze prawodawstwo, nie uznające wielożeństwa.

Doktor Piotr Lebioda wracał właśnie z miasta do domu, gdy z sieni pod numerem siódmym przy ulicy Pierwszego Maja wybiegła na placzyk starsza pani. Była najwidoczniej ogromnie wzburzona.

Chciała coś zawołać, ale chyba ze wzruszenia brakowało jej tchu. Widziała doktora, ale on jej nie zauważył. Skręcił w Gołębią i jak gdyby sobie coś pilnego nagle przypomniał, podbiegł do swojej furki i pospiesznie zatrzasnął ją za sobą.

W tym samym czasie otworzyły się drzwi małego spożywczego sklepiku na rogu Gołębiej i Pierwszego Maja. Był to jedyny sklep w tej okolicy, zaopatrujący mieszkańców w najniezbędniejsze artykuły spożywcze, to też panował w nim zawsze tłok i najdrobniejszy sprawunek zabierał sporo czasu.

Dwie kobiety opuściły sklep z widoczną ulgą, chociaż to, co je tu sprowadziło, nie mogłoby być zaliczone do fundamentalnych zakupów, które każda gospodyni załatwia rano. W nylonowej siateczce pani doktor Teresy Murachowej, żony sędziego Edwarda Muracha, pobłyskiwała torebka mielonej kawy i brązowiły się dwie paczki herbat

ników. Jej towarzyszka, pielęgniarka miejscowego szpitala, Urszula Wirkusów- na trzymała w ręku torbę pięknych, ciemnych czereśni.

—
Chodźmy prędzej — przynaglała doktor Murachowa — bo spóźnimy się. Kotlarczyk ma dzisiaj imieniny żony, mówił, że chce punktualnie zejść z dyżuru.

—
Ciekawe, jaka będzie dzisiaj noc — siostra Urszula przyspieszyła kroku, lecz nie przestawnia wyjadać czereśni z torby.

Żadna z nich nie spojrziała na dom, w którym mieszkaly, bo i c6z ciekawego w widoku, ogladany co dzień po tyle razy. Żadna wiec też z nich obu, spieszacych na dyżur do szpitala, nie dostrzegła postaci starszej pani, miotajacej się pośrodku placyku, to pragnacej gonić doktora Lebiode, to zn6w biegnacej ku nim, skręcającym włascie w ulicę Pierwszego Maja, w stronę centrum miasteczka.

Uwagę doktor Murachowej zaabsorbował człowiek, który ją włascie mijał, zmierzając najwyraźniej ku domowi pod si6dмым.

Ubrany był nieporządnie, lekko zataczał się i spojrział ponuro spode łba, gdy doktor Murachowa przytrzymała go mocno za ramię i powiedziała ostro:

—
Dokąd to tak spieszno, panie Burnas? Jeżeli zn6w do nas, to proszę się cofnąć. Mąż nie będzie z panem rozmawiał.

Pracuje i proszę mu nie przeszkadzać.

Mężczyzna wyszarpnął ramię i burknął hardo:

—
Jak kto sprawiedliwości szuka, to przeszkadza... tak?

Z daleka nadlatywał coraz bliższy warkot ciężarowego samochodu. Na zakręcie rozległ się pisk opon i sygnał

klaksonu. Ktoś nadjeżdżał tą ciężarówką, nie bardzo licząc się z nakazem ograniczania szybkości w obrębie zabudowy miejskiej.

Siostra Urszula wyciągnęła z torby z czereśniami dłoń, poplamioną ciemnobrązowym sokiem owoców i uniósłszy ją wysoko do góry, pomachała wesoło kierowcy, którego twarz widniała zza szyby. Kierowca wychylił się przez boczne okienko i odkrzyknął c6ś, nie zwalniając, lecz odwrotnie, dodając gazu.

Głucho trzasnęły drzwi sieni w domu pod si6dмым. Na widowni pojawiła się jeszcze jedna osoba. Pani Aniela Blinowa, żona fryzjera, której kierowca taks6wki, pan Wacjo Kociuba, przysparzał złej sławy, zowiąc ją piekielnicą — udawała się najwidoczniej po zakupy do sklepiku, gdyż trzymała w ręku pusty wiklinowy koszyk. Musiała się dobrze spieszyć, bo sklepik zamykano wcześnie: pracowano tu tylko na jedną zmianę.

Wszystko to, a wiec: zatrzaśnięcie furki przez doktora Lebiode, sprzeczka doktor Murachowej z Burnasem, wymiana przyjaznych gestów siostry Urszuli z kierowcą ciężarówki i wkroczenie na placyk Anieli Blinowej z koszykiem — działo się niemal jednocześnie. I w tej samej też chwili starsza pani na środku placyku, przypominajaca samotnego artystę na arenie, zdenerwowała się: zaczęła biec. Zaczęła biec tak, jak gdyby goniona przez napastnika, dojrzała nagle zbawcze schronienie.

Jej twarz, pełna dotychczas napięcia i grozy, przybrała wyraz triumfu. Biegła przed siebie i wołała jakieś niezrozumiałe słowa, a po wychudzonych policzkach spływały obifte łzy, przesłaniając chyba cały widok.

Biegła środkiem jezdni, prosto pod koła ciężarówki i nikt już nie był w stanie temu przeszkodzić.

ROZDZIAŁ 2

Ratunek nie nadchodził.

Sędzia Edward Murach bardziej to czuł, niż uświadamiał sobie. Stan, w którym znajdował się, przypominał zachowanie się człowieka błakajacego się w całkowitym mroku wśród znajomych ścian i sprzętów. W

ciemności, spowodowanej obojętne czym — brakiem światła czy ślepotą, dłonie odnajdywały po omacku to blat biurka, to poręcz fotela, to długopis, to zn6w śliską okrągłość szklanki z resztką

herbaty na dnie. W ciemności, która od czasu do czasu rzedła jak niebo przed świtem, a czasami rozjaśniała się nagle na moment, jak gdyby ktoś uchylał drzwi do sąsiedniego oświetlonego pokoju, przemykały się i zbliżały jakieś ludzkie postacie, myśl natykała się na sprawy bądź to obojętne, bądź też naglące, najpilniejsze.

Osoby były różne. Kiedy indziej zdziwiłby się, że tak jednocześnie krążą wokół niego, bo należały do zupełnie odmiennych światów i czasów — teraz jednak przyjmował ten fakt jako całkowicie naturalny. A więc była przede wszystkim Magdalena. Magdalena z dziećmi: Anią i Bogdanem.

—
Przecież was nie ma — mówi sędzia i czuje, jak zalewa go łagodny smutek, który kiedyś był piekącym, ostrym bólem —

przecież zginęliście dwadzieścia cztery lata temu.

Dziwi się, że Ania wciąż taka mała. Wcale nie urosła.

Powinna mieć teraz tyle lat, ile miała jej matka w dniu, kiedy rodzinę Murachów rozdzielono siłą na ulicy płonącej Warszawy.

—
Jak to, nie ma nas? — Magdalena, nie ta z płomieni, ale ta z ciemności dziwi się i perswazja jej jest tak suge-stywna, że sędzia ma ochotę drwić z własnej głupoty. —

Przecież jesteśmy przy tobie cały czas. Zawsze od tamtego dnia. Nie tylko na fotografii w szufladzie biurka. Po prostu nie przestajesz o nas myśleć.

Ale oto czarna zasłona przed oczyma rozsuwa się na sekundę, niby w teatrze i na scenie, która sceną nie jest, lecz po prostu gabinetem sędziego, pojawia się postać tak niepożądana, że sędzia gotów jest zrobić wszystko, ażeby tylko pozbyć się jak najrychlej natręta, usiłującego grać rolę wesołka. Sędzia odpycha od siebie Eustachego Solibora jak tylko może: wzrokiem, gestem, słowem. Ten czegoś chce, żąda, domaga się natarczywie, nudzi, gra komedię, błaga. Sędzia poddaje się. Woła resztką sił, zapadając z powrotem w niemoc i ciemną próżnię:

—
Tak, tak, tak! — Tak! Jutro... Tak!!!

Jak gdyby i tego nie było jeszcze dość, Solibor nie tylko nie odchodzi, ale przybliża do twarzy sędziego swoją wielką twarz o kanciastych rysach i wpatruje się w oczy sędziego swoimi sprytnymi świdrującymi oczkami.

Przypomina to zbliżenie oblicza aktora na ekranie filmowym.

Sędzia dusi się. Ten obraz go przytłacza. Suchość w ustach nasuwa wspomnienie gorzkiego żaru wdychanego podczas przedzierania się przez pogorzeliiska w powstańczej Warszawie.

—
Pić... — szepcze sędzia.

Język jest drętwy, usta ledwo poruszają się. Może kamienieje?

Czyjaś ręka podsuwa mu do samych ust chłodną krawędź —

kieliszka, kubka czy szklanki, sędzia nie wie. Usta nie czują nic, ale przełyk reaguje. Sędzia czuje, że połknął ogień lub wrzątek. Krztusi się, lecz za to na mgnienie oka powraca całkowicie do rzeczywistości. Unosi głowę i mówi do Solibora tak, jak przemawiałby każdego innego dnia:

—
Proszę wyjść. Proszę stąd natychmiast wyjść.

Teraz widzi wyraźnie, że Solibor trzyma w ręku butelkę z jasnobrazowym płynem. Ta butelka nie ma zwykłego korka, lecz srebrzystą zakrętkę, mogącą służyć jako kubeczek. Błysk tego kubeczka-zakrętki razi oczy i jest znów ostatnim obrazem, docierającym do świadomości sędziego.

Z ust wydobywa się bełkot. Sędzia wie, co chciałby jeszcze powiedzieć Soliboro- wi, ale słowa nie mogą wydrzeć się poza obręb sparaliżowanych warg. Chodzi oczywiście o Piotra. Chodzi o to, by Solibor poszedł natychmiast na Gołębią po doktora Piotra Lebiodę. Sędzia musi widzieć się natychmiast z Piotrem.

Nie będzie to rozmowa prosta ani łatwa. Sędzia czyni sobie wyrzuty, że dotychczas nie zdobył się na nią. Powinien był

wygarnąć Lebiodzie całą prawdę, ale po prostu stchórzył.

Zamiast powiedzieć prawdę, radził tylko Piotrowi, żeby wyjechał z Kramna tam, gdzie pieprz rośnie.

Teraz na wszystko jest już za późno. Dlaczego? Sędzia Murach usiłuje rozpaczliwie zrozumieć, co się z nim stało. Skąd ta.

ciemność, ta niemoc, kamienny bezwład ciała, dręcząca suchość w ustach. Zagłębia się znów w swoją ciemność i penetruje ją myślą, szukając momentu, od którego to się zaczęło. Przypomina człowieka, uwięzionego w ciemnicy i próbującego znaleźć z niej wyjście. Wyjście — to wolność. Odszukanie pierwszej chwili słabości może wskazać drogę do odzyskania siły.

Obie ręce sędziego leżą bezwładnie na biurku, ale ich posiadacz nie stracił jeszcze świadomości, że obejmują nie chłodny szklany blat, lecz gruby rocznik czasopisma. Może to już nawet nie świadomość, lecz nikły odblask rzeczywistości, który utrwalił się w pamięci. Bardziej odruch niż myśl. Jedna z dłoni przykrywa zdjęcie. Twarz uwidoczniła na zdjęciu uśmiecha się lekko. Mogłoby się zdawać, że kpi z sędziego.

—
Nie pójdzie ci ze mną łatwo.

Kto to powiedział?

Postać z fotografii, sam sędzia czy nowa postać, powiększająca snujący się wokół niego korowód?

—
Powiedziałem już panu raz, panie Burnas, żeby pan mnie tu w domu nie nachodził.

Sędzia nie wie, czy pomyślał to, czy powiedział na głos i kiedy. Teraz czy podczas obiadu — do ponuro spozierającej postaci, chwiejącej się w progu na nogach.

—
Po sprawiedliwość można wszędzie chodzić.

Racja. Nie tylko można, ale trzeba. I trzeba chodzić tak długo, aż się ją znajdzie. Kto ma o tym lepiej wiedzieć, jak nie sędzia, który jej co dzień szuka w gąszczu ludzkich spraw?

Czasami zdarza się, że odnajduje ją blisko, tuż pod ręką.

Czasem zaś trzeba czekać na nią latami albo obieć dookoła całą ziemię, by ją dogonić.

Zdawało się sędziemu przez moment — sam nie wie, jak dawno to było, wczoraj, czy dziś rano — że ją doścignął. Trzymał ją mocno w ręku, tę sprawiedliwość,

o której powiadają niektórzy niedowiarkowie i niektórzy ciężko doświadczeni, że jej w ogóle nie ma na świecie. Przyglądał się jej badawczo. To nieprawda, że jest piękna. Jest odrażająca i okrutna. Bolesna i bezlitosna. Jest przecież zwierciadłem niesprawiedliwości. Kara jest ekwiwalentem występku, jakże więc może być urodziwa? Sędzia wpatruje się i teraz w tę swoją sprawiedliwość i stwierdza, że ma ona twarz brzydkiej, starej kobiety, którą cierpienie i pragnienie zemsty pozbawiły wszelkich innych ludzkich uczuć, uczyniły brzydką i odpychającą.

Sędzia zna tę twarz i nie zna jej. Jest mu tak znajoma, jak gdyby widywał ją co dzień, wpatrującą się w niego z napięciem na sali sądowej z ław publiczności, czyhającą na jego werdykt, by jego z kolei z całą surowością osądzić: czy się nie pomylił, czy sprawiedliwości rzeczywiście stało się w

pełni zadość. Sędziowie mają bowiem swoich sędziów, wprawdzie nie sprawujących żadnej urzędowej funkcji, ale tym groźniejszych, że nie istnieje forum, na którym ich wza jemne racje mogłyby się ze sobą ścierać. Ich wyroki nie znają apelacji. Niektórzy nazywają to opinią publiczną, inni odczu-ciem społecznym.

A jednak sędzia po raz pierwszy w życiu widzi tę starą kobiecą twarz, chociaż tyle może o niej powiedzieć. Wie o niej więcej, niż może chciałby wiedzieć, bo instynkt samoobrony każe człowiekowi umykać przed wgłębianiem się w cudze cierpienia. Ta wiedza sędziego wynika przede wszystkim z jego doświadczeń zawodowych. Surowcem, z którym ma do czynienia w swej pracy, jest natura ludzka: sędzia musi ją dobrze poznać w całej jej różnorodności, aby rpógl działać możliwie bezbłędnie. Sędzia Murach wie na przykład, że wydany przez niego poprzedniego dnia wyrok na brata Antoniego Burnasa, Wojciecha, za znęcanie się nad żoną i dziećmi, pozostanie bezowocny lub wyda gorzki owoc. Nie dlatego, że Antoni Burnas osobiście uważa, iż brat został osądzony niesprawiedliwie, ale dlatego, iż żadne więzienie nie nauczy Wojtka Burnasa miłości do żony i dzieci. Kiedy wyjdzie na wolność, odpłaci im za to więzienie z nawiązką.

Ale sędzia Murach jeszcze w inny sposób zna otepiałą z bólu twarz starej kobiety. Zna do takiego stopnia, że w pewnym sensie identyfikuje się z nią. W jej rysach zapisane są jego własne przeżycia: bezsilna rozpacz, nienawiść, nie urze-czywistnione i przez to coraz bardziej zawzięte, coraz bardziej intensywne pożądanie zemsty.

Tej kobiecie musi powiedzieć, że sprawiedliwość, której pragną oboje, wymyka mu się z rąk. Że zło okazało się sil-niejsze i zniszczyło go, zanim zdążył doprowadzić całą rzecz do końca. Podjął się widocznie zbyt trudnego zadania. Jak ona to przyjmie? Co innego bowiem, gdyby nadal żyła gdzieś w Polsce w przeświadczeniu, że sprawiedliwość jest nieosiągalna.

On jednak obudził w niej nadzieję.

Nadzieja ta chyba nie spełni się. Czy wezbrany jak lawina gniew zawiedzionej nie obróci się przeciwko niemu, nie mogąc osiągnąć sprawcy krzywdy?

Cały ten proces myślowy odbywa się tak głęboko w świadomości sędziego Mu- racha, że sięga prawie rejonów podświadomości — i odbywa się błyskawicznie. Nic w tym dziwnego: sprawa, która zogniskowała się teraz w postaci stojącej przed nim starszej pani, od pewnego czasu tak go absorbowała, że stała się niemal drugim nurtem życia. Myślał

o niej, gdy się budził, nie opuszczała go ani na chwilę w ciągu dnia, śniła mu się nocami.

Silny organizm sędziego Muracha i silniejsza jeszcze wola, które pozwoliły mu przetrwać wszystkie ciosy, jakich nie szczędził los, każą jeszcze raz, może po raz ostatni w życiu przemóc słabość.

Gestem ramienia ciężkiego jak ołów, bez słowa wskazuje kobiecie stoliczek, stojący w rogu pokoju między dwoma fotelami, z którego nie sprzątnięto dzbanka z resztką kawy i filiżanek. Kobieta z początku nie rozumie. Widać, że denerwuje się, że jest wściekła.

—
Pić — żąda sędzia Murach.

Trzęsącymi się rękoma kobieta przynosi jedną z filiżanek i nalewa do niej łyk zimnej kawy. Musi jeszcze tę kawę wlać siłą sędziemu do półotwartych ust. To trochę pomaga. Sędzia mówi do niej wolno, z trudem formując słowa:

—
Proszę... tu... zawołać zaraz... doktora Lebiodę... z Gołębiej...

Kobieta znika. Głowa sędziego, zmęczonego nadmiernym wysiłkiem znów opada na ramiona skrzyżowane na rozłożonym roczniku.

Ratunek nie nadchodzi. Wszystko to trwa zbyt długo. Sędzia Murach już wie, że to koniec. Trzeba więc zrobić jeszcze jeden wysiłek. Nadludzki, lecz konieczny. Ci, którzy może przybędą tu niedługo, nie powinni znaleźć przy nim tego rocznika.

Sędzia dźwiga się z fotela, ujmuje w obie ręce ciężką oprawę i krok za krokiem, czepiając się krawędzi biurka, ściany, fi-ranki, wreszcie parapetu, wyrzuca rocznik za okno, do ogródka, ozdabiającego małe podwórko za domem.

Ta czynność wyczerpuje jego siły do reszty. Nie udaje mu się już sięgnąć telefonu. Nie udaje się zając z powrotem sto-sunkowo najdogodniejszej pozycji w fotelu za biurkiem.

Pada na dywan i tak go znajduje Antoni Burnas, który mimo pogroźek doktor Murachowej nie zrezygnował z odwiedzenia sędziego w domu, i korzystając z zamieszania z powodu wypadku wśliznął się pod siódmy. Pochyliła się nad leżącym, próbuje go podnieść, potrząsa nim, ale te starania nie odnoszą żadnego rezultatu. Sędzia szepcze tylko coś bardzo niewyraźnie. Burnas rozumie ze strzępków tych jedno tylko: ma iść zaraz po doktora Lebiodę. Sędzia mówi, że nic nie widzi. Dusi się i usta ma tak suche i spieczone, jak gdyby trawiła go wielka gorączka.

Antoni Burnas, obibok i awanturnik, nie jest w gruncie rzeczy złym człowiekiem. Myśli sobie, że właściwie powinien dać nogę i nie wtrącać się do niczego, bo jeszcze oskarżą go, że zrobił coś złego sędziemu. Albo że przez niego sędziego Muracha, za przeproszeniem, szlag trafił. Całe miasto wie, że na sędziego był cięty i że mu się odgrażał. Ale nie można przecież zostawić tak człowieka bez pomocy. Jak, za przeproszeniem, psa potrąconego na drodze.

—
Już się robi, Wysoki Sądzie — mamrocze Burnas, podkłada sędziemu poduszkę z fotela pod głowę i biegnie co tchu po Lebiodę.

Po drodze jeszcze zderza się z Blinową. Blinowa aż usta otwiera ze zdumienia, chce go zatrzymać, o coś spytać, lecz Antek wyrywa się jej, klnąc wyszukanie, jak to on potrafi.

Blinowa kiwa głową
zgorszona i mruczy z dezaprobatą:

—
A mówiła ci Murachowa, żebyś nie łąził tu. Wyrzucił
cię. Dobrze ci tak, huncwocie jeden.

Doktor Lebioda jest zaskoczony dziwnym poselstwem. Sędzia Murach, przysyłający po niego Antka Burnasa: czy to nie jakiś kawał? Słucha jednak uważnie splątanej relacji Burnasa. Nie bardzo ma o- chotę na te odwiedziny, przebrał się już w swój roboczy drelich i właśnie jest w toku nowego doświadczenia chemicznego w swoim małym domowym laboratorium. Reakcja jest wysoce obiecująca i nic z niej nie będzie, jeżeli nie dopilnuje podgrzania płynu do odpowiedniej temperatury. Ale iść trzeba. Wkładając z powrotem ubranie, Lebioda jeszcze zrzędzi, kierując swoje pretensje pod adresem niezwykle gońca:

—
A pani doktor nie ma w domu?

—
Ano, za przeproszeniem, na dyżur poszły z Wirkusówną.

—
Ach, tak... Może ja lepiej zadzwonię po nią do szpitala.

Antoni Burnas wzrusza ramionami:

—
Za przeproszeniem, nie wiem, czy tak zara będzie mogła. Wypadek był. Na ulicy. Tu na placyku.

Nic pan doktor nie widział?

— Wypadek? — dziwi się doktor Lebioda — chyba dopiero co, bo nie dawno do domu wróciłem.

—

Ano, za przeproszeniem, dopiero co. Murachowa i Wirkusówną pojechały do szpitala z tą przejechaną. Zdzisiek Fryda ją trącił tą swoją landarą.

—

Kto to, ta przejechana? — doktor Lebioda zadaje pytanie już na ulicy.

—

Bo ja wiem. Jakaś nietutejsza. Staruszka.

Burnas woli nie towarzyszyć doktorowi Lebiodzie aż do drzwi mieszkania sędziostwa Murachów. Im mniej jego obecności w miejscu, gdzie się coś zdarzyło, tym zdrowiej i bezpieczniej.

Bo tak się już, za przeproszeniem, utarło, że Burnasy wszystkiemu winne. Nawet jak wichura szyby w klubie powybijała, gdyż słabo były wprawione, też było na braci Burnasów i za niewinność parę godzin porucznik Socha w kiciu ich przetrzymał.

Doktor Piotr Lebioda stuka z uporem do drzwi Sędziego Muracha z mieszanymi uczuciami. Już od dawna utracił przyjaźń i zaufanie tego człowieka, którego zawsze bardzo wysoko cenił.

Nie można jednak żyć tak, jak żył Murach: jego bezwzględność i brak zrozumienia dla słabości ludzkich odsunęły od niego wiele osób. Umiał tracić przyjaciół, nie umiał ich sobie pozyskiwać.

Czasami sprawiał wrażenie, że nic go ludzka życzliwość nie obchodzi. Ostatecznie rozdzieliła Piotra i Muracha sprawa Teresy. Trudno, ale takie rzeczy zdarzają się.

Za drzwiami panowała głucha cisza. Lebioda zadzwonił, raz, drugi, przeciągle. Nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Widocznie Burnas w pośpiechu zatrzaskał za sobą drzwi.

Niewątpliwie zrobiłby lepiej i przezorniej, pozostawiając je otwarte.

Zwabiona hałasem, z drzwi sąsiadującego przez sień mieszkania, wychyliła się Aniela Blinowa. W szpareczkach oczu rozbłysła ciekawość. W ostatnim czasie dużo mówiło się w Kramnie o tym, że - doktor Piotr Lebioda rzadziej bywa u sę-

dziostwa, ale za to często widuje się doktor Teresę Murachową wchodzącą do jego domku na Gołębiej. No i proszę, jednak przyszedł tu. Ciekawe, po co.

—

O, pan doktor Lebioda — zaszczębio- tała słodziutko. —

Przepraszam najmocniej. Myślałam, że to Burnas, co go sędzia dziś dwa razy przegonił. Na awanturnika nie ma rady. Pewnie sędzia zamknął się i nie otwiera, bo myśli, że to znów ten Burnas.

Lebioda był zły, że musi się tłumaczyć znanej w całym Kramnie plotkarce:

—

Właśnie Burnas przybiegł do mnie przed chwilą. Posłał go po mnie sędzia.

Podobno zasłabł, czy zemdlął.

— Pewnie zdenerwował się z tym Burnasem — trajkotała z uporem Blinowa. — Już nie ten wiek, nie to serce. Dawniej to nasz sędzia po dwa stopnie po schodach biegał — dodała z ubolewaniem.

—

Państwo macie, zdaje się, telefon? — doktor Lebioda, jak gdyby teraz do niego dotarło znaczenie głuchej ciszy za drzwiami, wykazywał widoczne zdenerwowanie.

—

W mieszkaniu to nie, ale w zakładzie jest. Zara wezwe klucze — Blinowa zakrzętnęła się żwawo.

Lubiła, kiedy coś się działo, zwłaszcza, jeżeli to coś zdarzyło się przy jej współudziale.

—
Po panią Teresę chce pan doktor dzwonić? Ale nie wiem, jak da radę, bo z wypadkiem do szpitala pojechała.

—
Słyszałem już — mruknął niechętnie Lebioda.

— Pewnie, że pan doktor musiał słyszeć. Akuratnie pan doktor do siebie wchodził, jak to się stało. Jak Zdzisiek Fryda zahamował, to o mało bębenki w uszach nie popękali z tego pisku i rumoru. Ale już mu kobita pod kołami była. Nie dał

rady... — plotła Blinowa, mocując się z kłódką zabezpieczającą wejście do zakładu fryzjerskiego, w którym jej mąż lubił przesiadywać do późnego wieczora niezależnie od tego, czy miał klientów, czy trwonił czas na obliczanie szans wygranej w toto-lotka.

—
Nie zwróciłem uwagi na hałas — skwitował chłodno jej barwny opis doktor Lebioda, ale i tak brzmiało to jak tłumaczenie się, co znów go zirytowało — Burnas mi o tym powiedział.

Dorwał się wreszcie niecierpliwie do telefonu. Kilka razy odezwał się sygnał, zanim czyjaś ręka podniosła słuchawkę i rozległo się stereotypowe:

—
Szpital Powiatowy, lekarz dyżurny. Słucham.

Poznał natychmiast głos Teresy. Ten głos wysoki, z leciutkim metalicznym tonem, zawsze go nieco peszył. Musiała minąć chwila, zanim podejmował z nim dialog. Zwłaszcza przez telefon.

—
To ja, Piotr. Jestem w waszym domu. Edward mnie wezwał. Nie wiem, co się z nim stało. Nie mogę dostać się do mieszkania. Przyjedź tu zaraz albo przyślij przez kogoś klucze.

Wymawiał słowa pospiesznie, beładnie. Czuł to i był na siebie znowu zły. Czy wyzbędzie się kiedykolwiek poczucia niższości wobec kobiety, którą tak kochał?

—
Edward wezwał ciebie? — w tonie Teresy brzmiało niekłamane zdumienie. — To chyba jakieś nieporozumienie, nie uważasz? Jeżeli źle się poczuł, mógł przecież do mnie zadzwonić.

—
Nie wiem, czemu mnie właśnie wezwał — przerwał Piotr, nadspodziewanie energicznie, prawie ostro. — I nie wiem, czemu nie zadzwonił do ciebie. Ale coś tam się stało na pewno.

—
Narzekał ostatnio na serce. Nie wiem doprawdy, co mam robić Teresa rzadko kiedy nie wiedziała, co ma robić, mówiła to tak, iż z góry było wiadomo, że już powzięła decyzję. —

Jestem na dyżurze i mam tu bardzo ciężki wypadek. Ale trudno, ktoś tu mnie zastąpi. Zaraz tam będę. Poczekaj, jeżeli chcesz.

Ale lepiej idź do domu. Już ja sobie sama z Edwardem poradzę.

—
Nie, nie — zawołał Lebioda gorąco — poczekam na ciebie.

Przez cały kwadrans był skazany na towarzystwo Anieli Blinowej. Wprowadziła go do swojego mieszkania, urządzonego z pretensjonalną elegancją, lecz utrzymanego w idealnej czystości. Jednym uchem wysłuchał długiej opowieści, co to się wydarzyło na placyku, i jak ta staruszka wpadła pod ciężarówkę Zdziśka Frydy.

ROZDZIAŁ 3

Teresa Murachowa odłożyła z westchnieniem słuchawkę.

Wykręciła numer wewnętrzny na drugim aparacie i poprosiła .

ordynatora o zwolnienie. Uzyskała je natychmiast, każdy wiedział, że tylko rzeczywiście bardzo poważna sprawa jest w stanie spowodować z jej strony podobną prośbę. Ordynator nawet sam zaofiarował się, że ją zastąpi.

A jednak zdarzały się widocznie w życiu Teresy chwile, kiedy opanowywały ją wątpliwości. Niewiele osób wiedziało, że rozterka jej uzewnętrznia się w drobnym geście: przygryzała koniuszek kciuka prawej ręki, po czym, jak gdyby nagle prze-budzona, potrząsała głową. Przy tym ruchu jej bujne, jasne, starannie utrzymane włosy rozsypywały się i trzeba było z kolei odgarnąć długi kosmyk, opadający na policzek.

Właśnie zrobiła ten ruch, gdy zza drzwi, prowadzących do sąsiedniej salki opatrunkowej, rozległ się profesjonalnie beznamiętny głos siostry Urszuli Wirkusówny:

—
Co jej dać?

Wahanie było tak krótkie, iż prawie niedostrzegalne, pokrył je ton lekarza bezapelacyjnie pewnego siebie:

—
Morfinę — rzuciła.

Cóż innego można dać w takim wypadku? Tylko morfinę.

Oderwała się wreszcie od stolika z telefonem i wróciła do salki opatrunkowej.

Ranna leżała na stole opatrunkowym. Krwawiła, tampony natychmiast nasiąkały krwią, barwiły się jaskrawo czerwonym kolorem. Wirkusówna stała pochylona nad stołem. Robiła zastrzyk. Wprawnym ruchem wyciągnęła z ciała igłę, przycisnęła ranę watą, jak gdyby taka mała

ranka miała znaczenie dla tego zmiadzłego ciała. Co to jednak znaczy: odruch zawodowy.

Teraz z kolei Teresa schyliła się nad umierającą.

Cisnienie. Tętno. Wszystko co robi jeszcze lekarz do końca, do samego końca, dopóki ostatnia fala krwi nie uderzy po raz ostatni o ścianki naczyń.

Na Teresę patrzą oczy umierającej. Te oczy, które ludziom w poczekalni dworcowej wydały się martwe w żywej twarzy, teraz już są jedyną oznaką życia w ciele starszej pani. Płoną jakimś niesamowitym ogniem. Maluje się w nich triumf i radość.

Ogromna radość człowieka, który po niezliczonych przeszkodach dotarł do upragnionego celu. Martwiejące usta jeszcze zdążą wypowiedzieć kilka oderwanych słów.

Urszula wrzuca strzykawkę do sterylizatora. Obie, Urszula i Teresa, muszą się pochylić bardzo nisko nad ranną, żeby dosłyszeć, co ona mówi. Umierająca mówi:

—
Janek... Guterhof... Znalazłam.

Urszula wzrusza ramionami i prostuje się.

I jeszcze jedno, ostatnie słowo:

—
Mörder...

—
Co ona powiedziała? — Pyta Urszula.

—
Morderstwo czy mordercy, nie dosłyszałam — odpowiada obojętnie Teresa i gestem,

wyrażającym zmęczenie, pociera czoło.

Słysząc głębokie westchnienie. To westchnienie ulgi, jakiej doznaje śmiertelnie znudzony człowiek, gdy wreszcie udaje się na zasłużony odpoczynek.

Teraz również Teresa prostuje się i lekko wzrusza ramionami.

Taki nawyk: Urszuli i jej. Tyle już lat pracują ze sobą razem, że nawet gesty ich upodobniły się. W każdym razie w sprawach zawodowych reagują jednakowo. Gest Teresy oznacza rezygnację i bezsilność. Medycyna nie jest jeszcze wszechwładna w walce ze śmiercią

i chorobą. Obie kobiety patrzą sobie w oczy, jak gdyby pytały siebie nawzajem, upewniały się, czy zrobiły wszystko, co było w ich mocy.

—
Już? — pyta Urszula.

Teresa kiwa potwierdzająco głową. Bierze do ręki kartę rejestracyjną, której nie zdążyła nawet w całości wypełnić.

Widnieje na niej tylko imię i nazwisko rannej i doktor Murachowa odczytuje je na głos, zanim wpisze do odpowiedniej rubryki przyczynę zgonu i godzinę, o której on nastąpił:

—
Matylda Krychowa.

Karetka szpitalna już czeka na doktor Murachową. Jej kierowca, bezgranicznie uwielbiający „naszą Tereskę” podobnie jak spora część personelu szpitalnego, przygląda się z ukosa, jak drżą palce lekarki, zapalające papierosa. Dziwi się: doktor Murachowa podziwiana jest przede wszystkim za to, że nic i nigdy nie jest w stanie wytrącić jej z równowagi. W

największym zamieszaniu ona jedna zawsze do ostatka zachowuje przytomność umysłu. Czyż tak nie było na przykład w ubiegłym roku, kiedy autobus wiozący dzieci szkolne na wycieczkę wpadł do rowu i szpital pełny był rannych uczniów i lamentujących matek?

—
Czy coś się stało, pani doktor? — pyta współczująco.

—
Umarła ta kobieta, co ją Fryda potracił.

—
Zdziśkowi pewnie prawo jazdy zabiorą — komentuje kierowca z satysfakcją. — Należy mu się za tę jazdę na wariata po mieście. Już dawno przepowiadałem, że tak się skończy. A w domu, przepraszam, że pytam, czy też coś się stało?

—
Zdaje się, że mąż zachorował. Serce — mówi Teresa, ale czuje się po głosie, że mniej to „pą dotknęło niż śmierć nieznajomej pacje'ntki.

Kierowca mi? czy. Sporo ostatnio słyszy się w Kramnie o tym, że zepsuło się to małżeństwo. I pomyśleć: po tylu latach jedna z najstarszych par, która osiedliła się po wojnie w miasteczku nad samą prawie zachodnią granicą. Widocznie rozchodzą się przez to, że dzieci nie mają. Szkoda sędziego, porządny chłop.

—
Niech pan na mnie nie czeka, panie Jasiu — mówi Teresa, wysiadając z samochodu — zadzwonię po pana do szpitala, gdybym miała jeszcze wrócić na dyżur.

Przywitanie z Piotrem jest nijakie. Ostatecznie, trudno ujawniać czułość, gdy się jest pod natrętnym ostrzałem by-strych oczu, notujących każdy gest i każde słowo. Teresa wyciąga klucze z torebki, ręce jej wciąż jeszcze lekko drżą, ale opanowuje się.

Na dworze jest dość jasno, późny letni zmierzch dopiero się rozpoczyna, ale w mieszkaniu o wąskich, staroświeckich oknach, ciasno zastawionym dużymi, starymi meblami i mnóstwem półek z książkami, panuje półmrok. Można by powiedzieć również, że panuje cisza, ale to nie jest całkowicie zgodne z prawdą.

Zupełna cisza oznaczałaby także pustkę. Tymczasem ta cisza w mieszkaniu sędziostwa Murachów jest pozorna. Tu gdzieś musi być człowiek — chociaż go na pierwszy rzut oka nie widać —

którego ciężki, chrapliwy oddech wypełnia całą przestrzeń mieszkania. Ktoś nieświadomy rzeczy mógłby pomyśleć, że w półmroku przycailo się jakieś Wielkie, dzikie zwierzę i wydaje ten złowieszczy pomruk bądź ze strachu, bądź też gotując się do skoku na upatrzoną ofiarę.

Teresa wzdryga się i odruchowo cofa krok do tyłu. Przeraza ją to, co dzieje się tam gdzieś w głębi, za progiem przedpokoju. Pierwszy raz w życiu boi się.

Doktor Piotr Lebioda nareszcie więc ma okazję, by zagórować nad kobietą, której od dawna bezapelacyjnie przyznał wyższość nad sobą. To on pierwszy przekracza próg mieszkania Murachów, on zapala światło, on pierwszy pochyla się nad wielkim, bezwładnym ciałem, leżącym na dywanie.

Ten moment niespodziewanie przejawionej przez Piotra inicjatywy pozostawia dość czasu Teresie na ochłonięcie.

Zatrząskuje Anieli Blinowej drzwi przed samym nosem, rzucając zawiedzionej na pocieszenie zdawkowe podziękowanie za okazaną pomoc. Przykłęka obok Piotra na dywanie i z uporem wpatruje się w twarz męża tak dobrze znajomą, a tak bardzo w tej chwili inną i obcą. Pomaga Piotrowi ściągnąć marynarkę, rozpiąć kołnierzyk i koszulę, podaje mu stetoskop i aparat do mierzenia ciśnienia. Dobrze, że Piotr przyniósł to wszystko ze sobą z domu. W tym całym zamieszaniu nie przyszło jej do głowy zabrać ze szpitala niezbędne w nagłych wypadkach przyrządy i zastrzyki. W domu takich rzeczy nie trzyma, praktyką prywatną nie zajmuje się. Dość ma szpitala.

—
Co stwierdzasz? — pyta Piotra, gdy ten kończy badanie.

Piotr nie odpowiada, ale skrzywieniem ust, ruchem głowy, spojrzeniem oczu daje do zrozumienia, że sprawa jest przegrana.

Milczą. Nie mają dość odwagi, by popatrzeć na siebie. Ich wzrok przyciąga wyłącznie człowieka, którego spojrzenie i widoku unikali ostatnio oboje, jak tylko mogli. Dzielił ich od lat, rozdziela i teraz, jeszcze skuteczniej, jak nieprzebytym murem, kiedy tak klęczą naprzeciwko siebie na dywanie po obu stronach jego tęgiego, rosłego ciała.

Teresa decyduje się jednak na działanie.

—
Dam mu cardiamid, a ty przygotuj strofantynę.

Jeżeli nie masz przy sobie, poszukaj w szafce w moim pokoju.

Powinna tam być jedna ampułka.

Piotr dziwi się, że Teresa, taki doświadczony lekarz, wciąż jeszcze nie rozumie, o co chodzi. A może tylko udaje, woli odsunąć od siebie konieczność postawienia diagnozy, chce, żeby zrobił to Piotr?

—
Co tu pomoże cardiamid? Nie widzisz, że to wcale nie serce?

—
A cóż by to mogło być innego? — Teresa znów wpada w swój suchy, apodyktyczny ton.

—
Zatrucia. Bardzo silne zatrucie. — Piotr unosi się z klęczek, pomaga wstać Teresie i odprowadza

ją trochę na bok. —

Burnas mówił mi coś o zaburzeniach wzroku, o suchości jamy ustnej. To się potwierdza. Nie reaguje na światło. Spójrz na jego usta. Bardzo charakterystyczne.

—
Więc cóż by to mogło być? — Teresa robi dalszy unik.

Uparta jak zawsze.

—
Jeszcze się nie domyślasz, że to atropina? Strofantyna dobiłaby go natychmiast. A on i tak jest w agonii.

—
Atropina?! Co ci przyszło do głowy? Dlaczego miałby brać atropinę? Po co? I skąd by ją wziął?
— Zdumienie Teresy nie ma granic.

Piotr nie odpowiada na te pytania: jeśli są skierowane do niego, to na pewno pod niewłaściwy adres. Skąd on ma wiedzieć, w jaki sposób sędzia Murach łyknał atropinę? Chyba raczej Teresa mogłaby dać jakąś wskazówkę, która naprowadzi na właściwy trop:

—
Co jedliście na obiad?

—
Sałatkę z papryki. Leniwe pierogi.

Piotr milczy i zastanawia się, co wyraźnie wprawia Teresę w gniew:

—
Nic z tego nie mogło mu zaszkodzić. Sałatka była zupełnie świeża. Urszula przyniosła mi rano kilka słoików ze spółdzielni, bo przywieźli właśnie transport. Nigdy nie kupuję konserw, jeżeli wiem, że stoją już w sklepie od tygodni. I sprawdzam datę produkcji. Jak chcesz, to ci pokażę, mam te pozostałe słoiki w spiżarni...

—
Doprawiałaś ją jeszcze czymś?

—
No wiesz?! — wybucha Teresa — i zamiast soli dodałam atropiny, tak?

—
Nie denerwuj się. Przecież musimy...

—
Tak, tak, wiem... — Teresa uspokaja się — przepraszam cię. Ale rozumiesz...

Słuchaj, przecież tą samą sałatką częstowałam cię, kiedy przyszedłeś tu w południe. No i co, zaszkodziła ci?

Piotr zniechęca się, tą drogą do niczego się nie dojdzie.

Wie, że niewiele już można pomóc, ale obowiązkiem lekarza jest walka o życie chorego, dopóki ono jeszcze trwa:

—
Dajmy już temu spokój. W każdym razie trzeba przyjąć, że to była atropina. Zaparz kawę, bardzo mocną. Szybko.

—
Nie ma w domu ani ździebka. Kupiłam paczkę, ale zostawiłam ją w szpitalu. Wypiliśmy z tobą resztkę z tego, co było w domowych zapasach. — Teresa wskazuje ręką na stół z nie sprzątniętą zastawą. — Nawet pozmywać nie zdążyłam, tak się spieszyłam na dyżur...

Piotr podziwia Teresę. W takiej chwili myśleć jeszcze o nie pozmywanych filiżankach. Ale kawa musi się znaleźć.

—
Może Blinowa ma. Spółdzielnia już zamknięta...

—
Blinowa jest przeciwniczką kawy, mówi, że to trucizna.

Spółdzielnia zamknięta już dawno. Mogłabym zatelefonować do szpitala, żeby Urszula przywiozła. Albo do klubu pójść.

Szkoda, że samochód odesłałam. Ale, ale! Czekaj no...

Teresa podbiega do biurka sędziego Muracha. Otwiera jedną szufladę, drugą, wreszcie triumfalnym gestem unosi w górę i pokazuje Piotrowi małą puszkę:

—
Jest! Edward chomikuje tutaj różne rzeczy, żeby nie chodzić do spiżarni, kiedy pracuje w nocy. Zaraz zaparzę.

Z kuchni zaczynają dobiegać odgłosy gospodarskiej krzątania. Zwykle, codzienne, normalne, jak to w domu. Syknał

zapalany gaz, zabręczczała pokrywka czajnika, zadzwoniła struga wody o jego puste dno. Piotr myśli z melancholią, że od tak dawna już nie ma domu. Od pierwszych dni wojny, kiedy po jego rodziców przyszło gestapo. On musiał uciekać i tak rozpoczęły się długie lata, gdy prze

stał być sobą, gdy musiał być wciąż kimś innym. Te kuchenne odgłosy, takie powszednie, kłócą się także z tym, co się dzieje tutaj, przy Piotrze. Umiera człowiek. Jest w tym zawsze groza i patos. To unieważnia codzienność.

Piotr Lebioda znów przyklęka i nagle widzi ze zdumieniem, że oczy sędziego Muracha wpatrują się w niego z natężeniem.

Może zresztą tak mu się tylko wydaje, może to tylko ostatni, potężny zryw woli każe oczom umierającego wyrażać myśl. Usta poruszają się ledwie dostrzegalnie. Sędzia Murach chce coś powiedzieć. Doktor Lebioda pochyła się najniżej, jak tylko można, z ruchu warg próbuje odgadnąć słowa. Wydaje mu się, że sędzia powiedział: „Piotr”, więc potwierdza skwapliwie:

—
Tak, Edwardzie, to ja, Piotr. Jestem przy tobie. Czy zawołać Teresę? Jest w kuchni, parzy dla ciebie kawę. Zaraz ją przyniesie.

Lekki, prawie niezauważalny ruch mięśni daje znać Piotrowi, że to zupełnie nieważne, niepotrzebne. Twarz sędziego staje się nagle groźna. Prawie wyraźne są dwa słowa, które wypowiada namiętnie, oskarżycielsko:

—
Guterhof... pamięć...

„Pamiętaj” czy „pamiętasz”... — zastanawia się doktor Lebioda; czeka, może sędzia zdobędzie się na jeszcze jeden wy-sięk. Ale umierający znów traci przytomność.

Teresa wnosi filiżankę mocnej, czarnej kawy. Piotr przytrzymuje głowę sędziego, Teresa wlewa z trudem ciemny płyn w usta męża.

Żadne z nich ani słowem nie przerywa ciszy, w której czekają na wynik zabiegu. Piotr podchodzi do okna, odruchowo zamyka je. Szeroki błam nieba, widoczny stąd nad łąkami przedmieścia, przypomina wodę w przezroczystym, zamkniętym naczyniu, do którego ktoś dolewa po kropli atramentu. Z dołu, z podwórka, dobiegają krzyki chłopców, bawiących się w wojsko.

Powinniśmy jeszcze kogoś wezwać — odzywa się cicho Piotr, nie odwracając się od okna — albo przetransportować Edwarda do szpitala.

Teresa siadła przy biurku, pali papierosa, odruchowo obraca w rękę pustą filiżankę po kawie. Odpowiada pobłażliwie, jak dziecku, któremu trzeba tłumaczyć najprostsze sprawy:

—
Mówisz tak, jakbyśmy mieszkali w Warszawie albo Katowicach. . Czy w Kramnie mamy specjalistów? Każdy z nas musi być omnibusem. Tylko nazwy nam zostały: laryngolog, ginekolog, pediatra i takie tam inne. Nasi kochani koledzy tyle samo potrafią, co my, ja i ty.

Piotr odwraca się wreszcie od okna, chce wyjaśnić Teresie, z czego wynika jego wątpliwość, ale orientuje się, że to nie ma znaczenia. Do sędziego Muracha już z całą pewnością nie docierają słowa Teresy, którymi pragnie ona jak gdyby obudzić go, bo zasnął, a tu czas wstawać, czas udać się do sądu na rozprawę:

—
Edward — woła z naciskiem, z pretensją, nagląco —

Edward! Edek... — i potrząsa go za bezwładne, nieruchome ramię.

Piotr odsuwa Teresę, przykłada słuchawkę do serca sędziego Muracha — ale ono zaprzestało już swej długiej, niezmordowanej pracy. Życie sędziego Edwarda Muracha dobiegło kresu.

Piotr podnosi z klęczek Teresę, chce podać jej krople, które przygotowała w, pierwszej chwili, ale Teresa niecierpliwie odsuwa od siebie kieliszek.

—
Daj spokój — mówi z rozdrażnieniem — nie jestem histeryczną babą. Bli- nowej się przyda. Jak się dowie, zaraz tu przyleci lamentować. Ja tylko nie rozumiem, jak to się stało. To takie straszne.

Patrzy badawczo na Piotra, układającego z powrotem w walizeczce niepotrzebne już przyrzady. Ale Piotr jakby unikał jej oczu. Teresa podchodzi do niego i mówi wprost, bez ogródek:

—
Wiem, dlaczego proponowałeś, żeby wezwać jeszcze kogoś. Chodziło ci o to, że tylko my dwoje, my, o których plotkuje Kramno, byliśmy przy jego śmierci.

—
Tak — potwierdza Piotr. — Mogą nas posądzić.

—
O co?

—
Że postanowiliśmy w taki sposób uzyskać wolność.

—
No wiesz — oburza się szczerze Teresa — za dobrą tu mamy opinię. Szczególnie ty. Miejscowa świętość. Nie patrz tak na mnie z wyrzutem. Ja bynajmniej nie kpię. Że taki właśnie jesteś, to ma dla mnie większe znaczenie, aniżeli przypuszczasz. O wiele większe.

—
To Edward był święty, nie ja — Piotr odmierza słowa z namysłem. Brzmią gorzko.

—
Żałujesz go?

—
Tak — odpowiada Piotr i teraz on z kolei pyta. — A ty?

Też mi go żal, chociaż ostatnio, wiesz, już nie mogłam czasami wytrzymać. I dlatego muszę cię o coś prosić, Piotrze.

—
Mnie, prosić? O co?

—
Dla mojego, dla naszego spokoju... Nie mogę wprost nawet myśleć o zamieszaniu, jakie się zrobi, jeżeli wyjdzie na jaw, że to była atropina, tak jak ty twierdzisz. Dochodzenie, sekcja. Nie kochałam go już, to prawda, ale to nie jest dla mnie obojętne. To by było naprawdę ponad moje siły. Przecież jesteś lekarzem sądowym. Wypiszesz świadectwo zgonu. Niewydolność układu krążenia. Nie będzie przyczyn do podejrzeń, wszyscy wiedzą, że się przemęczał.

Piotr nawet się nie waha, kiedy odpowiada ostrzej, niżby należało:

—
Nie zrobię tego. Nie mogę, Tereso. Właśnie dlatego, że to my byliśmy przy jego śmierci. Jeżeli chcemy uwolnić się od wszelkich ewentualnych podejrzeń... Muszę złożyć w prokuraturze meldunek.

Dopiero teraz Teresa zaczyna płakać. Płacze głośno i rozpaczliwie, tak, jak płakałaby zapewne Blinowa, gdyby przytrafiło się jej jakieś nieszczęście. Po babsku.

Piotr dotyka jej ramienia, ale Teresa odsuwa się.

—
Nie kochasz mnie. To nieprawda, że mnie kochasz.

Zrobiłbyś to dla mnie, gdybyś mnie naprawdę kochał — powtarza przez łzy, z uporem; jej głos ma szorstkie i nieprzyjemne brzmienie.

Piotr nie odpowiada na ten zarzut. Cóż mógłby jej bowiem powiedzieć? Wie, że to, co robi, jest niezbędne. Wykręca numer telefonu mieszkania prokuratora Brzezińskiego i prosi, aby prokurator w bardzo poważnej sprawie przybył natychmiast do mieszkania sędziego Muracha.

ROZDZIAŁ 4

Porucznik Andrzej Socha, zastępca komendanta powiatowego Milicji Obywatelskiej w Kramnie, kłął wszystko na świecie.

Przede wszystkim upał, który paraliżował jego ciało i ducha, podczas gdy okoliczności wymagały sprawnego działania zarówno jednego, jak i drugiego. Po drugie życzył ciężkiej mżawki swemu szefowi, który wraz z rodziną biwakował na takim odludziu nad jeziorami mazurskimi, że nie było mowy o przerwaniu mu urlopu. Cóż za licho sprawiło, iż cały ten skandal w Kramnie spadł akurat jemu, zastępcy, na głowę!

Całą noc nie spał. Nie tylko komendant, ale również co najmniej połowa stanu osobowego komendy sprawiła sobie wczasy.

Socha, wezwany przez proku-

ratora Brzezińskiego do mieszkania sędziostwa Murachów, musiał dwoić się i troić, aby koniecznym wymogom śledztwa godnie sprostać. Trzeba było spisać protokół, przeprowadzić wstępne przesłuchania, zabezpieczyć wszystko, co mogłoby stanowić jakikolwiek dowód, jeżeli istotnie, jak twierdzi doktor Lebioda, sędziego Muracha uśmierciła trucizna. Czy tak było naprawdę — okaże sekcja w województwie.

Socha znał się na swojej robocie. Rzadko wprawdzie, ale jednak zdarzały się od czasu do czasu w powiecie zabójstwa, samobójstwa czy po prostu nieszczęśliwe wypadki, młody porucznik umiał więc załatwiać wszystkie służbowe czynności i formalności związane z nagłym zgonem człowieka. Tu jednak chodziło nie o kogo bądź. Sędzia Edward Murach i doktor Teresa Murachowa — to nie byle kto w małym światku Kramna. Andrzej Socha czuł się głęboko zażenowany, gdy musiał

indagować jak pierwszego lepszego „samą panią doktor Murachową”, która nie tylko wycięła mu w ubiegłym roku ślepą kiszkę, ale nie raz, jako radna i członkini komisji zdrowia i opieki Społecznej, dała się we znaki komendzie, szczególnie za opieszałość w walce z alkoholizmem.

Aż mu się ręce trzęsły przy pisaniu protokołu, kiedy patrzyły na niego z badawczym uporem jej jasnoniebieskie oczy, o których ludzie w Kramnie powiadają, że dojrzą każdą chorobę prędzej niż rentgen. Miał wrażenie, że A chwilę, zamiast odpowiedzieć na pytanie, o której wyszła z domu na dyżur, pani doktor rzuci mu wyzywająco: „A co tam słyhać z nielegalnym wyszynkiem u Kalusa? Wczoraj znów płukaliśmy żołądek jednemu z jego klientów!”

Na ostatku zaś, ale za to najserdeczniej, porucznik Andrzej Socha błogosławił w duchu Aniełę Blinową i fakt, który spowodował, że musi ją przesłuchać. Kto to widział: dwa wypadki w Kramnie jednego dnia. Czasami przez cały rok tyle się nie zdarza. I jakkolwiek doniosła jest sprawa zagadkowej śmierci jednego z najwybitniejszych obywateli miasta, śmierć na bruku Kramna nie znanej nikomu przyjezdnej też nie może zostać zlekceważona. Trzeba sprawę wyjaśnić, zamknąć i odesłać gdzie należy.

Andrzej Socha uzbroidł się w maksimum opanowania:

—
Więc jeszcze raz, pani Blinowa: czy pani jest zupełnie pewna, że tej kobiety nikt nie popchnął?

—
Jakbym nie była pewna, tobym nie mówiła. Pan porucznik przecież mnie zna. Gadać po próżnicy nie lubię, ale jak co powiem, to powiem. — Pani Aniela z okazji wizyty w komendzie ubrała się elegancko: w białą, nylonową bluzkę i plisowaną spódnicę. Z dystynkcją poprawiła mankiecik bluzki i z wyrzutem spojrzała na Sochę.

—
Znam, znam — westchnął zrezygowany.

Któż by nie znał w Kramnie Blinowej!

—
I wszystkie świadki powiedzą to samo. Leciała przez ulicę jak wariatka. Jak by ją co goniło.

—
A może ją kto i gonił? Może uciekała przed kimś? —

sugerował nieśmiało Socha. Aż cisnęło mu się na usta, żeby zapytać, czy to nie pani Blinowa goniła nieszczęśnicę.

Zdarzyło się już tak kiedyś, że zazdrosna pani Aniela pędziła przez całe miasto za niejaką panną Klar- cią, ekspedientką ze sklepu chemicznego, którą przyłapała w objęciach pana Bliny w jego fryzjerskim salonie. Klarcia z głową pełną lokówek rwała jak koń wyścigowy, aby ujść pogoni rozjuszonej przeciwniczki aż dobiegła do dworcowej ubi- kacji, gdzie zamknęła się na klucz, haczyk i solidną zasuwkę. Kto wie, jakie pretensje mogła mieć właścicielka pana Juliana Bliny do nieznajomej kobiety?

Blinowa wzruszyła ramionami:

—
E tam. Nikogój za nią nie było. Tu ją pewnie co goniło

— zrobiła palcem kółko na czole. — Bywa tak z ludźmi. Ja na ten przykład...

Socha przerwał grzecznie, lecz stanowczo:

—
To mi pani później powie. Więc pani uważa, że to nie Fryda winien? Wpadła mu pod ciężarówkę z nieuwagi?

—
A bo ja wiem, czy z nieuwagi. Może jej życie naprzykrzyło. Ja na ten przykład...
—

Ale Fryda — w głosie Sochy zabrzmiały już prawie histeryczne nutki — Fryda, winien, czy nie winien, pani zda-niem?!

—
Jeśli się o moje zdanie rozchodzi — wyjaśniła łaskawie i z godnością, ale nie bez urazy, że ktoś ośmiela się przerywać jej w pół zdania — to na mój rozum, tą razą nie był winien. Zdzisiek Fryda ostro jeździ, nie powiem. Mówiłam już temu piekielnikowi nie raz, że wszystkich na świecie i w Kramnie poprzetrąca. Ale tą razą, jakby nie jechał, byłby ją trącił. Do spółdzielni akuratnie szłam, bo mi jajek do klusków zbrakło, kiedy stało się to nieszczęście, świeć Panie Boże nad jej biedną duszą.
—

Oprócz pani, kto jeszcze widział wypadek?

Wyliczała skrupulatnie, zaginając palce, aby nikogo nie przeoczyć, marszczyła niskie czoło pod rzadkimi, płowymi wło-siętami:
—

Burnas Antek, to raz. Ciurkiem kole naszego domu wczoraj się wiercił. Sędziego nachodził. Pan porucznik wie, pretensje miał o tego swojego brata, co go sędzia skazał...
—

Wiem — westchnął z rezygnacją Socha i zaczął malować diabełki na marginesie arkusza z protokołem. Każdy z diabełków miał nisko zarośnięte czółko i wiotkie loczki między rogami.
—

No. Więc on. Doktor Lebioda mówi, że nie widział, ale słyszał. Do swojego domu właśnie wchodził, więc tyłem był, to może naprawdę nie widział. Jak to on. Nie zawsze wie, czy to północ czy południe.
—

Jak pani nie wstyd obgadywać doktora Lebiode. Kto paninego dzieciaka uratował, jak go zmija w lesie ugryzła?

—
A ja i nie obgaduję. Tylko mówię, że roztargniony, bo to szczerą prawdą. Kto tam jeszcze był, zaraz... No przecie, Wirkusówna, znaczy się siostra Urszula i doktor Murachowa.

Akuratnie wyszły razem ze spółdzielni, widać na dyżur szły i po coś do sklepu wstąpiły.

W tym momencie bure oczka rozbłysły żywiej. Aniela Blinowa uniosła nieco z krzesła drobną, kościstą postać i aż przechyliła się przez blat biurka, żeby być bliżej Sochy.

Zatrajkotała z podnieceniem:
—

Tak Bogiem a prawdą, panie poruczniku, może Zdzisiek dodał gazu, nie powiem. Bo jak Zdzisiek Fryda siostrę Urszulę zobaczy, zawsze popisać się musi, że tak po kawalersku jeździ.

On z nią kombinuje. Ona myśli, że on się z nią ożeni. Albo to on głupi? Za stara dla niego i brzydka. Ale co mu szkodzi prezen- ta od niej brać? Wróci z kursu, usmo- truchany, głodny, a tu micha pełna ciepłej wody, zakrapiana kolacyjka na stole. Zabraknie pieniędzy przed wypłatą, do Urszulki jak w dym. Wszystko jedno, do domu czy do szpitala, taki bezczelny, sumienia nie ma, przy pacjentach do niej, ludzi się nie wstydząc: „Pożycz, siostrzyczko, trochę moniaków na lekarstwo dla chorego”, powiada...

Socha podniósł obie ręce do góry jak żołnierz, który poddaje się wobec jawnej przewagi nieprzyjaciela i z braku możliwości obrony.

—
Pani Blinowa — jęknął głucho resztką sił — niechże pani przestanie mi tu plotki opowiadać. Ja i bez pani o tym wszystkim wiem. Niech mi pani tylko na pytania odpowiada...

Obraziła się:

—
Jak pan porucznik taki mądry, że wszystko wie, to po co mnie tu wzywał? Widzieliście: „plotki”. Nie plotki, a prawdziwa prawda. Jak tak, to już nic nie powiem.

Porucznik Andrzej Socha postąpił bez wątpienia nieopatrnie.

Należy cierpliwie wysłuchiwać małomiasteczkowych plotkarek.

Kto to jednak mógł wiedzieć, że wśród plew, obficie sypanych przez kra-
mneńską sekutnicę, odnaleźć można także zdrowe ziarno?

Z ulgą powitał wkroczenie do pokoju niecierpliwie od rana oczekiwanych gości. Kapitan Józef Kozłowicz przywiózł swoją ekipę z województwa i teraz stał w progu, uśmiechając się ledwo dostrzegalnie na widok umęczonego Sochy, ocierającego pot z czoła wielką kraciastą chustką, i dziarskiej, małej kobietki, nie tracącej ani na chwilę formy i rezonu, wymachu-jącej mu przed nosem blankietem protokołu po złożeniu na nim zamaszystego podpisu.

Opuściła komendę z dumnie podniesioną głową, bynajmniej nie ułagodzona obietnicą, że wezwie się ją jeszcze raz, jeśli zajdzie potrzeba.

—
Dyktatorka miejscowej opinii publicznej — zażartował domyślnie kapitan Kozłowicz, siadając na krześle opróżnionym przez Anielę Blinową.

Wyciągnął z kieszeni ulubione carmeny, poczęstował Sochę.

Znali się. obaj i lubili nawzajem, chociaż i rangą, i wiekiem przybyły był starszy. Sekretarka przyniosła dwie herbaty słomkowego koloru, ale i to dobre na upał, bo mokre.

—
Wypadek drogowy mieliśmy tego samego dnia, kiedy umarł

Murach — wyjaśnił Socha, podsuwając kapitanowi cukier w szklaneczce po musztardzie — czy lubisz takich świadków, którzy zawsze widzą więcej, niż się w istocie wydarzyło?

—
Uwielbiam.

—
To właśnie taka osobistość. Byłbym ją ukrócił, ale może będzie nam jeszcze potrzebna. Blinowa, sąsiadka Murachów.

Nie mieliśmy jeszcze takiej paskudnej sprawy, od kiedy tu pokutuję.

— Nie narzekaj — Kozłowicz krzywił się, łykając gorącą jak ukrop cieniutką herbatkę, ale nie wypadało upominać się o kawę. — Żle ci tu? Rajskie miasteczko. Sam bym chętnie tu popracował. Cisza, spokój.

—
Więc będziesz miał okazję pracować. Widzisz, jaki spokój, skoro ciebie tu przysłali. Zresztą, ciesz się, że jesteś. Roman na urlopie. Ledwo daję radę z bieżącymi sprawami. A tu huk na całe miasto. Nasze wysokie sfery, rozumiesz.

—
Rozumiem — kapitan odsunął szklanekę i sięgnął po teczkę, którą przywiózł ze sobą — skandal w

zaczętej rodzinie ity, jako tutejszy, nie masz ochoty prac brudów.

—Coś w tym rodzaju — mruknął niechętnie Socha. Dobrze mówić Kozłowi- czowi. Wyjaśni sprawę, wyjedzie sobie i kwita. A on codziennie będzie musiał spuszczać oczy, spotykając na ulicy doktor Murachową albo doktora Lebiodę, czy jeszcze kogoś z tego kręgu osób, stanowiących coś w rodzaju królewskiego dworu w małym państewku, którego on czuł się tylko oddanym strażnikiem.

Kozłowicz wyciągnął z teczki kilka dokumentów i podał je młodszemu koledze:

—
Masz tu wyniki sekcji. Czekałem na to, dlatego przyjechałem dopiero teraz, w południe. I to także ci przywiozłem — podsunął drugą kopertę — to dotyczy sekcji zwłok tej przejechanej kobiety.

Socha wsunął kopertę do chudej teczki, leżącej na skraju biurka, nie opatrzonej jeszcze żadnym napisem. Nie otwarta ko-perta znalazła się w sąsiedztwie zeznania Anieli Blinowej.

Jeszcze będzie czas ją otworzyć. Całe zainteresowanie porucznik Socha poświęcił sprawie sędziego Muracha. Zdziwił się, czytając:

—
Alkohol? Ciekawe skąd. Sędzia nie pił. Podobno wódka mu bardzo szkodziła.
I ani śladu trucizny.

—
Jeżeli to była rzeczywiście atropina, to jasne, że ani śladu.

Socha starannie wygładził dłonią doku- ment i dołączył go do akt, mieszczących się w teczce z ładnie wykaligrafowanym napisem: Sprawa sędziego Edwarda Mu- racha. Teczka była chuda, papierów w niej niewiele, jak to zwykle na początku śledztwa.

Na twarzy porucznika malowała się rozterka. Po chwili wahania odezwał się:

—
Mimo to Niedziałek nie wyklucza otrucia atropiną.

—
Doktor Niedziałek jeszcze przy żadnej sekcji nie omylił się — stwierdził Kozłowicz z satysfakcją. Doktor Niedziałek był chlubą jego wojewódzkiej komendy. Zazdrościła mu go nawet centrala. — To szatańsko skrupulatny facet. Zwraca nawet uwagę, w czym mogła być podana atropina. Tylko w tej sałatce z papryki, bo ostra i piekąca, więc sędzia nie poczuł goryczy. Oczywiście, jeżeli to morderstwo. Bo przy samobójstwie mógłby ją łyknąć byle jak.

—
A jednak twój Niedziałek coś tam musiał przeoczyć — w głosie Sochy- brzmiała nutka przekory: niech koledzy z województwa nie sądzą, że wszystkie rozumy zjedli — bo w spisie tego wszystkiego, co jadł i pił Murach przed śmiercią, brak kofeiny. A przecież Murachowa i doktor Lebioda ratowali go kawą. Tylko że mu nie pomogła. Za późno ją dostał.

Kozłowicz wzruszył ramionami:

—
Może kłamią?

—
Coś ty?! Lebioda? Murachowa?! — Socha szczerze oburzył się.

Kozłowicz uśmiechnął się rozbawiony:

—
Widzę, że nawet tu oddaje się cześć miejscowym bóstwom. Nie złość się. Ja przecież znam Piotra Lebiodę.

Pewnie dłużej i lepiej niż ty.

—
Co ty mówisz? Nigdy o tym nie wspominał.

—
Podczas wojny byliśmy razem w le- sie, w partyzantce.

Przysłali go nam jako początkującego łapiducha. Przedtem działał na Śląsku w podziemiu, ale gestapo nakryło jego grupę, więc przeszedł granicę i zjawił się w Gubernii. Po wojnie rozstaliśmy się. On pojechał do Warszawy, kończyć medycynę, ja

— w teren dalej wojować.

—
I nie widzieliście się od tamtego czasu?

—
Kilka lat temu spotkaliśmy się na zjeździe, w Zbowidzie. Mówił, że tu utknął. Podobno robi jakieś badania naukowe. Namawiałem go nawet, żeby się przeniósł do Warszawy albo do nas, do województwa. Miałyby większe możliwości. Nie chciał nawet słuchać. A szkoda, zdolny chłop.

Socha był zachwycony, że jeszcze ktoś podziela jego adorację osoby doktora Lebiody:

—
Pewnie, że szkoda. Ja już się nieraz dziwiłem, że tak zaszył się w Kramnie. Ze swoimi kwalifikacjami mógłby gdzie indziej karierę zrobić. Ale i nam potrzebny, nie myśl.

—
Taką tu ma dobrą opinię? — Kozłowicz zdusił papierosa, wyciągnął z kieszeni mały notesik i zapisał w nim coś.

—
Na medal — Socha stropił się nieco, że kapitan słucha go tak nieuważnie, ale swojej mowy pochwalnej nie przerwał —

jest lekarzem szkolnym, udziela się społecznie na wszystkie strony. Jest biegłym sądowym. Praktyki prywatnej nie posiada.

Mieszka samotnie. Hoduje jakieś dziwne zielska. Robi z nimi doświadczenia, jakieś nowe lekarstwa wynajduje. No i przecież gdyby nie on, jego obserwacje i meldunek, pochowałibyśmy zwyczajnie sędziego Muracha, zmarłego z powodu niewydolności krążenia.

—
Taaak — powiedział przeciągle kapitan Kozłowicz i zabrzmiało to, jak gdyby nadmiar zalet i zasług doktora Lebiody był mu nie w smak.

Nagle zmienił temat: — Czy przesłuchiwałaś panią doktor Murachową? Co z rewizją w mieszkaniu Murachów?

Socha zaczerwienił się:

—
Przesłuchiwałem pobieżnie. Rewizji nie było jeszcze.

Tylko oględziny pokoju, w którym zmarł sędzia.

—
Cóż ty tak grzecznościowo?

Jak wytłumaczyć Kozłowiczowi, że nie czuł się na siłach?

Wolał wykręcić się małym pochlebstwem:

—
Wiedziałem, że bez ciebie taka sprawa się nie obejdzie. A wiem, że nie lubisz, jeżeli ci ktoś

sprawę od początku poknoci.

Kozłowicz spojrział uważnie na młodszego kolegę, ale nic już nie powiedział. Wstał, schował swoją teczkę do szafy, notesik wsunął do kieszeni.

Socha poczuł się nieswojo:

—
Czy chcesz, żebym poszedł z tobą?

—
Idę samotnie stawić czoła waszym bogom. Najwyższy czas, abym złożył wizytę pani doktor Murachowej.

Sztuczny patos tych słów wydał się porucznikowi podejrzący.

Opanowało go niejasne wrażenie, że coś tu się dzieje nie tak jak trzeba. Ale milicjant nie powinien mieć wrażeń —

powinien po prostu wiedzieć, a jeśli nie wie, jego obowiązkiem jest dowiedzieć się — jak mawiał przełożony Sochy, kapitan Roman Knapik. To inni mogą mieć wrażenia, albo może im się coś zdawać. Jak na przykład ordynatorowi szpitala powiatowego w Kramnie, doktorowi Sławomirowi Gawrońskiemu, który domagał

się urzędowej sekcji zwłok Matyldy Krycho- wej, lat 56, zmarłej na skutek obrażeń odniesionych podczas wypadku na ulicy. Bo coś mu się tam „nie zgadza”. Z westchnieniem rezygnacji Andrzej Socha sięgnął po teczkę bez napisu. Trzeba dać znać rodzinie zmarłej. Ciekawe, po co ona tu przyjechała aż ze Skierniewic?

ROZDZIAŁ 5

Kapitan Kozłowicz gotów był przyznać w tej chwili całkowitą rację swojemu młodszemu koledze z Kramna. Kobieta, siedząca naprzeciwko niego, onieśmiała. Jej chłodne, wyniosłe zachowanie stwarzało między nią i przypadkowym rozmówcą dystans nie do przebycia. Głos miała dźwięczny, wysoki — w chórze szkolnym z pewnością śpiewała partie solowe metalicznym sopranem, na sali zaś operacyjnej niechybnie każde wypowiedziane przez nią w trybie rozkazującym słowo docierało wyraźnie do uszu asystujących. Nie wiadomo, czy doktor Teresa Murachowa celowo zajęła miejsce przy biurku w fotelu swego męża, pozostawiając Kozłowiczowi krzesło po jego drugiej stronie. Na tym krześle z pewnością siadywali interesanci sędziego, ludzie, którzy przychodzili do niego w różnych, nawet niekoniecznie sądowych sprawach. Jeżeli to posunięcie pani doktor było zamierzone, osiągnęło cel: za każdym razem Kozłowicz, gdy zadawał jakieś pytanie, musiał przełamywać w sobie opór. Zdawało mu się ciągle, że znajduje się u lekarza, do którego przyszedł, by opowiedzieć o objawach swojej choro-by. Tymczasem, mimo wszystko, on musiał być stroną pytającą, a pani doktor — pytaną. Musiał to sobie wciąż uparcie i od nowa uświadamiać. Co jednak było najdziwniejsze: Teresa Murachowa nie sprzeciwiała się takiemu ustawieniu ról. Odpowiadanie na pytania Kozłowicza nie sprawiało jej najmniejszych trudności.

Pytania traciły swą ostrość w momencie, gdy następowały po nich obszernie, jasne, logiczne, może nawet zbyt rozwlekłe wy jaśnienia. Podobne sytuacje Kozłowicz nazywał „wchodzenie noża w miękkie masło”. Ułatwiały niewątpliwie pracę, ale nie lubił ich.

—
Przepraszam za to najście w domu — usprawiedliwił się na wstępie — ale muszę z panią porozmawiać. Sądziłem, że pani będzie wolała taką rozmowę niż oficjalne przesłuchanie w komendzie.

—
Ależ oczywiście — odpowiedziała uprzejmie, podsuwając pudełko z papierosami.

Na wieczku przybita była plakietka z wygrawerowanym napisem ! Wielce czcigodnemu Sędziemu Edwardowi Murachowi z okazji XX-lecia pracy — pracownicy Sądu Powiatowego w Kramnie.

Ruch ręki Teresy był nieco niedbały i Kozłowicz mimo woli pomyślał: ciekawe, co też ona robi z tymi wszystkimi pamiątkami po mężu, których tu pełno na biurku, z tymi wszystkimi dowodami ludzkiego szacunku, często, niestety, grzeszącymi brakiem gustu... Szacunek. Wszyscy go szanowali. A kto go kochał? Widocznie kapitan zbyt intensywnie wpatrywał

się w rękę Teresy Murachowej, bo cofnęła ją nagłym ruchem i nerwowo zatarła dłonie. Dłonie miała kształtne, o długich, silnych palcach. Trochę zniszczone. Może nie zawsze wkłada gumowe rękawiczki, kiedy zajmuje się gospodarstwem.

—
Bardzo panu dziękuję, panie kapitanie, za tę formę kontaktu ze mną. Rzeczywiście, nie byłoby mi na rękę, gdyby całe Kramno przypatrywało się, jak maszeruję do komendy.

Stykam się wprawdzie często z waszymi ludźmi, ale na innym terenie, na innej płaszczyźnie.

—
Jestem już trochę zorientowany w całej sprawie —

Kozłowicz postanowił zredukować do najniezbędniejszego minimum indagację doktor Murachowej — nie będzie więc pytał o bezpośrednie szczegóły. Chodzi mu raczej o informacje ogólniejsze.

—
Proszę bardzo — jasnoniebieskie

oczy Teresy Murachowej miały wyraz, którego Kozłowicz nie umiał określić. W tym wzroku było trochę poczucia wyższości, trochę pobłażania — pan kapitan rozumie, jak bardzo zależy mi na wyjaśnieniu tej tragedii.

—
Czy państwo długo byli małżeństwem?

—
Tak, pobraliśmy się w 1943 roku. Rok przedtem otrzymałam dyplom i skierowano mnie do pracy w Kramnie. Byłam wtedy tutaj jedynym lekarzem. Edward w tym samym czasie został mianowany sędzią. Jego cała rodzina zginęła w powstaniu warszawskim, ja też byłam samotna. No i tak jakoś poznaliśmy się, zbliżyliśmy się. To nie było trudne, inteligencję można było wtedy w Kramnie na palcach jednej ręki policzyć.

—
Czy pani doktor też pochodzi z Warszawy?

Zaprzeczyła, twarz jej przybrała lekki wyraz smutku:

—
Nie. Jestem spod Lwowa. Moi rodzice nie żyją. Reszta rodziny pogubiła się. Wie pan, kapitanie, jak to podczas wojny.

Nie miał nic do zarzucenia tej odpowiedzi:

—
Wiem. To los wielu z nas.

Teresa Murachowa skinęła głową, przyjmując do wiadomości zrozumienie jej losu przez kapitana i ciągnęła dalej, nie pytana:

—
Studia rozpoczęłam podczas wojny. Trochę tu, trochę tam. Częściowo tajne. A skończyłam medycynę już w Warszawie, po wojnie. Doktor Lebioda także wtedy studiował. Byliśmy razem na

ostatnim roku. No i to ja właśnie ściągnęłam go do Kramna.

—
Dlaczego mi pani o tym mówi? — zapytał spokojnie.

Zdaje się, że z tą kobietą trzeba po prostu grać w otwarte karty.

Odpowiedziała mu z przekorą i goryczą:

—
Żeby panu wyjaśnić od razu, co nas łączyło z Piotrem Lebiodą. I tak panu powiedzą. Wolę, żeby pan dowiedział się o tym ode mnie.

Tego mu Socha nie powiedział: W tele- fonogramie, przesłanym do komendy wojewódzkiej, było tylko wspomniane, że przy śmierci sędziego obecna była żona, lekarka, i zaprzyjaźniony z rodziną Murachów Piotr Lebioda, również lekarz.

—
Czy te stosunki, to, co panią łączyło z Piotrem Lebiodą, mogło budzić czy- jekolwiek wątpliwości? Zerwała się z fotela, okrążyła biurko, stanęła przy oknie, ale tyłem do widoku rozległych łąk, zalanych słońcem:

—
Pan chyba zna małe miasteczka. Zresztą, w tym wypadku istniał surowiec dla plotek. Piotr nie zawsze umiał ukrywać swoje uczucie dla mnie. To zaczęło się jeszcze na studiach.

Najwidoczniej nie lubiła małych miasteczek. Czy nie lubiła też doktora Lebiody? Odgadła to pytanie, zanim je zadał, skwapliwie nadązała za tokiem myśli kapitana Kozłowicza: Nie myślałam nigdy o Piotrze poważnie. Miałam dla niego zawsze dużo sympatii, zwyczajnej, koleżeńskiej sympatii.

Sądziłam, że ta miłość przejdzie mu z biegiem lat.

—
Ale nie przeszła?

—
Nie. Żałowałam niejednokrotnie, że namówiłam go do osiedlenia się w Kramnie. Niepotrzebnie skomplikowałam sobie tym życie. Ale w tych pierwszych latach tak bardzo brakowało mi tu kogoś znajomego, kogoś bliskiego, życzliwego.

—
Czy pani mąż wiedział, że doktor Lebioda kocha panią?

Czy nie był zazdrosny?

Kozłowiczowi przemknęło przez myśl, że może jest tak, jak Murachowa mówi, izarazem jest też trochę inaczej. Czy nie mogło być na przykład tak, że miłość Piotra i Teresy spowodowała załamanie psychiczne starszego mężczyzny i popchnęła go do samobójstwa? Pierwsza żona zginęła, druga chce odejść, cóż więc po życiu?

Teresa rozwiała te wątpliwości, ale do obrazu dodała jeszcze jeden element, nową barwę:

—
Mój mąż był bardzo bystrym człowiekiem. Ale był też bardzo skryty i opanowany. Nigdy nie pozwoliłby sobie na jakiś wybuch. Po pewnym czasie zorientował się w sytuacji, ale z początku lekceważył tę sprawę. Żartował nawet nieraz z Piotra, nazywał go moim giermkim. To denerwowało Piotra. On jest bardzo uczuciowy, przewrażliwiony. Powiedziałabym nawet —

hysteryk. Dwa dni temu doszłam między nimi do ostrej wymiany zdań. Niestety, nie było mnie przy tym, bo byłabym temu zapobiegła. Miałam dyżur w szpitalu. Wiem tylko, że mąż dał

Piotrowi do zrozumienia, iż zrobiłby najlepiej, przenosząc się do innego miasta.

Widocznie zmęczyła się, czy zdenerwowała tym wyznaniem, bo znów zajęła miejsce przy biurku i zapaliła papierosa.

Strzepnęła popiół na dywan. Kozłowicz przysunął jej usłużnie popielniczkę.

—
Porozmawiam o tym z Piotrem. Widzi pani, tak się składa dziwnie, że ja też znam doktora Lebiode od wielu lat.

Poczuła się tym wyraźnie zaskoczona. W jej oczach, dotychczas bez wyrazu, mimo że mówiła o sprawach, które z pewnością nie były dla niej obojętne, po raz pierwszy rozbłysło zainteresowanie. Może nawet niepokój:

—
Ach tak? Rzeczywiście od wielu lat? Czy z czasów wojny?

— Z czasów wojny — potwierdził

iprzeskoczył nagle na zupełnie inny temat. — Czy pani sama prowadzi gospodarstwo? Przy pani obowiązkach zawodowych trudno pogodzić dom i pracę.

Zdziwiła się, ale odpowiedziała płynnie:

—
Mój mąż był bardzo wymagający. Wręcz kapryśny czasami.

I potworny

skrupulant. Żadna gosposia nie mogła tu długo wytrzymać.

Ostatnią zwolnił dwa tygodnie temu, bo mu jakieś papiery na biurku przemieszała. Więc gospodarowałam teraz sama. Pewnie, że to niełatwo. Ale mam dobrą sąsiadkę.

— Panią Blinową? — spytał podstępnie i uśmiechnął się domyślnie.

—
Uchowaj Boże! — zakrzyknęła z przerażeniem. — Mówię o naszej szpitalnej pielęgniarce, siostrze Urszuli Wirkusównie. Pracuje tu w Kramnie tak samo długo jak ja, to znaczy od początku. Od „stworzenia świata”, jak mówimy żartem. Trochę nudna, jak to stara panna, za to każdemu chciałaby pomóc. Więc i mnie pomaga często, choć muszę się przyznać, że jest to dla mnie raczej krępujące. Nie lubię przysług, za które nie mogę się odwdziżyć. Ale przecież jej nie wygonię z domu, obraziłaby się zaraz na śmierć

izapłakała. Zresztą, mąż ją lubił. Umiała sobie z nim radzić.

Może lepiej niż ja.

—
Czy pani mąż nie był ostatnio czymś przygnębiony?

Zamyśliła się, lecz do sprawy Piotra już nie wróciła.

Rozumiała, że kapitanowi chodzi o coś innego:

—
Może i był. Ale raczej jakby roztargniony. Myślę, że mąż po prostu był bardzo przemęczony. Nie chciał nigdzie wyjechać w tym roku na urlop. Chciałam go wysłać na kurację —

odmówił jednak stanowczo. Powiedział, że ma jakieś pilne sprawy. Czy... czy pan kapitan przypuszcza, że to mogło być samobójstwo?

—
Niczego jeszcze nie mogę przypuszczać — odrzekł

spokojnie — za mało wiem. Ale wykluczyć też mi niczego nie wolno.

Samobójstwo... — powtórzyła jeszcze raz to słowo, jak gdyby usłyszała je pierwszy raz i usiłowała zrozumieć znaczenie. — To raczej do Edwarda niepodobne. I po co by wtedy wzywał doktora Lebiodę, żeby go ratował?

—
Jako lekarz powinna pani wiedzieć, że człowiek, decydujący się na śmierć, często w ostatniej chwili zaczyna żałować życia.

—
Wiem.

—
A teraz proszę mi powiedzieć, czy sędzia miał wrogów?

Teresa Murachowa znów była skłonna do obszernych wynurzeń:

—
Na ogół męża uważano za człowieka niesłuchanie sprawiedliwego, chociaż surowego i nieprzejednanego. Ale sędzia zawsze się naraża. Zawsze ktoś czuje się pokrzywdzony jego wyrokiem. Oczywiście, trudno rzucać podejrzenia na ludzi, którzy mogą być Bogu ducha winni, ale...

—
Ale co? — ponaglił, gdy urwała wpół zdania.

—
No, na przykład wczoraj. Podczas obiadu wdarł się tu przemocą taki Antoni Burnas. Potem znów próbował wejść i chyba mu się udało, bo to przecież on przywołał doktora Lebiodę na życzenie męża. Brata Burnasa mąż skazał przed-wczoraj za maltretowanie rodziny. Burnas uważał wyrok za zbyt surowy, odgrażał się. Drugi — to Eustachy Solibor. Kierownik naszej centrali ogrodniczej. Też mógł mieć żal do męża. W

rodzinie toczy się jakaś skomplikowana sprawa spadkowa, chodzi o duże sumy. Solibor, jak mi mąż wspominał, ma więcej pretensji niż praw. Zanudzał męża, chciał go przekonać o swojej rzekomej słuszności. Powiedział nawet podobno, że gdyby inny sędzia prowadził sprawę, wygrałby ją na pewno.

—
Czy ten Solibor też był wczoraj u państwa w mieszkaniu?

—
Doprawdy, nie mam pojęcia. Może wtedy, kiedy wyszłam już na dyżur. Ale nie sądzę. Mąż nie miał zwyczaju przyjmowania interesantów w domu.

—
A czym pani mąż interesował się poza pracą? — Postać sędziego zaczynała frapować Kozłowicza, chociaż nie musiał

to być człowiek łatwy w codziennym pożyciu.

Ramię Teresy zakreśliło szerokie koło, w którym zamknęła półki, wysokie aż do sufitu, całkowicie niemal kryjące ściany pokoju:

—
Książkami. Wyłącznie niemal książkami. O, widzi pan, ile tu tego! Masę pieniędzy na to wydawał. Kupował, gdzie się tylko dało. Sprowadzał nawet z Katowic, z Warszawy. Miał też takich, co mu je przynosili do domu.

W jej głosie wyczuwało się niechęć. Może chciała bawić się po pracy, pójść do znajomych na bridża, może po prostu porozmawiać z mężem — ale on wolał książki. Tak bywa.

Kozłowicz rozumiał jednak pasję sędziego. Wstał z krzesła, zaczął odczytywać tytuły na

grzbietach:

—
Historia drugiej wojny światowej. Ja też się tym interesuję. Bezcenne materiały. Mogłaby pozazdrościć niejedna biblioteka.

Zatrzymał się przy którejś z kolejnych półek. Poprawił rocznik pisma, oprawiony starannie i bogato. Jego grzbiet wystawał zanadto do przodu, obok było puste miejsce.

—
O, Berliner Illustrierte! — mruknął bardziej do siebie niż do Teresy. — Cały komplet! Ale tu brak jednego rocznika, z 1941 roku... Szkoda.

—
Pewnie tu gdzieś leży — odpowiedziała tonem, w którym zabrzmiało zmęczenie. — Rozczytywał się w tym ostatnio bez pamięci...

Kozłowiczowi zrobiło się przykro. Uświadomił sobie, że już minęła godzina, co najmniej godzina, od chwili, gdy tu wszedł.

Ta kobieta ma prawo być zmęczona. Mogła nie wzbudzać w nim sympatii, mogła być zubożniała po dwudziestu latach małżeństwa wobec męża- -dziwaka, męża-tetryka, męża-bibliofila, mogło się Kozłowiczowi nie podobać jej igranie z miłością Piotra przez dwadzie-

ścia z górą lat — ale nie miał prawa dłużej jej zamęczać.

Przeprosił ją i pożegnał bardziej serdecznie, niż leżało to w jego zamiarach. Kiedy schodził po schodach, wydało mu się, że ktoś zatrzasnął drzwi, starając się zrobić to możliwie cicho. Nie były to drzwi Murachów. Nie było też słyhać uprzednio otwierania tych drzwi. Trudno również było zorientować się, czy odgłos dobiegł od strony mieszkania państwa Blinów, czy też od lokum, zajmowanego przez siostrę Urszulę Wirkusównę, nadmiernie gorliwą w pomaganiu bliźnim, jak to stwierdziła doktor Teresa Murachowa.

ROZDZIAŁ 6

—
Czekałem na ciebie — powiedział po prostu doktor Piotr Lebioda, otwierając szeroko przed kapitanem Kozłowiczem drzwi swojego domku.

Był to dawny Piotr. Taki, jakim go zapamiętał Kozłowicz z partyzanckiej, leśnej włóczęgi. Nic się nie zmienił, może tylko trochę się zestarzał. Ale to go nie szpeciło, odwrotnie, dodawało nieuchwytnego uroku. Impulsywny, bezpośredni, skromny aż do przesady. Delikatny w obchodzeniu się z ludźmi też do przesady. Zawsze pogodny. I, co tu dużo mówić: zwyczajnie dobry. Dobry człowiek. Istnieją takie rarytasy.

To było pierwsze wrażenie kapitana Kozłowicza. Ale już po chwili, gdy zasiedli nad dwiema filiżankami kawy, kapitan zaczął dostrzegać pewne dysonanse w postaci, której wyidealizowany być może obraz zachował w swojej pamięci. Łagodne, ciemne oczy, patrzące zawsze na świat życzliwie, choć z lekka melancholijnie, rzucały teraz chwilami niespokojne, ostre błyski. Ruchy, zawsze trochę jakby ospałe, ustępowały nagle miejsca gestom gwałtownym i nerwowym. Fałdy wokół ust układały się w nieprzyjemny grymas. Zdarzały się momenty, gdy sciszony, miękki głos załamywał się. Doświadczenie podpowiadało Kozłowiczowi: ten człowiek jest u kresu wytrzymałości nerwowej. Nie wolno było jednak zdradzić się ze swoim spostrzeżeniem.

Kapitan obrzucił uważnym spojrzeniem pokój, w którym siedzieli. Był to dziwny lokal, zajmujący więcej niż pół

domku. Typowe pomieszczenie zamieszkałe przez samotnego mężczyznę, nie dbającego o swoje

życiowe wygody. Tu zapewne spał, jadł i tu też pracował. Przy tym na dwie pierwsze czynności przypadało

o wiele mniej miejsca niż na pracę. Wąski skrawek stołu zaledwie wystarczał na postawienie dwóch talerzyków i dwóch filiżanek — całą resztę jego powierzchni zajmowały książki, bruliony, słoiki, retorty i różne urządzenia, jak gdyby żywcem przeniesione z wyposażenia pracowni średniowiecznego alchemika. Za oknem rozciągał się widok ogródka, którego starannie uprawione grządki stanowiły żywy kontrast z zaniedbanym wnętrzem domu. Tam, w słonecznym, jaskrawym upale, koncentrowało się życie: dobiegało brzęczenie nieprzeliczonych rojów owadów, zwabionych wonnymi ziołami, słychać było śpiew ptaków, dolatywały pokrzykiwania dzieci. Tu, w środku domu, było mroczno, chłodno, nieprzytulnie. Pusto i posępnie.

Dlaczego doktor Piotr Lebioda skazał siebie na takie bytowanie? Kozłowicz chciał to wiedzieć:

—

Zagrzebałeś się z kretesem w tym twoim Kramnie, nasz Judymie. Czy pamiętasz jeszcze, że tak przeżywaliśmy ciebie w oddziale?

Lebioda skinął głową i uśmiechnął się, ale ten uśmiech wypadł żałośnie:

—

Pamiętam. Ale ja tu wcale nie ju- dymuję. W dużym mieście życie rozprasa. Tyle obowiązków, tyle spraw... A tu świetnie się pracuje naukowo.

—

Twój stary konik, zielarstwo? Pamiętasz, jak wściekałem się na ciebie w lesie? Niemcy cisną nas ze wszystkich stron, zmieniamy miejsce postoju, a ty ziółka po drodze skubiesz. Czasami miałem ochotę bić ciebie.

—

Nie żartuj z ziółek. Niejednemu z was życie ocaliły.

Zielarstwo niesłusznie uważane jest za coś w rodzaju zna-chorstwa, a przecież nie odkryliśmy jeszcze nawet połowy tajemnie ludowej medycyny. — Piotr gotów był bronić swojej manii do upadłego. Zapalił papierosa. Płomyk zapałki chwiał się i podskakiwał: palce doktora wyraźnie drżały.

—

Nad czym pracujesz teraz?

Spojrzał na Kozłowicza z ukosa, nastroszył się. Słowa padały wolno, niechętnie, każde mogło mieć znaczenie:

—

Usiłuję skomponować lekarstwo na astmę, którego podstawę stanowi atropina. W moim ogrodzie specjalnie hoduję w tym celu wilcze jagody.

Zapadło krępujące milczenie. W Kozłowiczu wzbierał gniew, nie na Piotra, ale na pech, który sprawił, że prowadzi to paskudne śledztwo. Z gniewem walczyło współczucie. Jest jednak na służbie, trzeba wziąć się w garść:

—

Czy uważałeś, że musisz mi to powiedzieć? — Patrzył na Piotra Lebiodę badawczo, usiłował zachować rzeczowy, normalny ton.

—

Tak — odpowiedział Piotr również spokojnie, ale głos drgnął mu mimo woli — wolę sam stanąć do apeluj jako podejrzany o otrucie sędziego Muracha, niż zostać doprowadzony siłą.

—

Zlituj się. Komu takie rzeczy w głowie? Chyba tylko tobie — mruknął Kozłowicz bez wielkiego przekonania.

Głos Lebiody pełen był goryczy i rozdrażnienia:

—
Nie wykręcaj się, przede mną nie musisz udawać.

Kozłowicz postanowił zaatakować wprost:

—
Przyznaj się, że to wcale nie praca naukowa przywiązała ciebie do Kramna. Co ciebie łączy z Teresą Murachową? Przepraszam cię za tę obcesowość, ale rozumiesz...

—
Rozumiem, rozumiem — przerwał Lebioda niecierpliwie. —

Nie musimy się certować. Ja ci też odpowiem wprost. Kocham ją.

Nie wyobrażam sobie, że mógłbym istnieć gdzieś z daleka od niej. Zakochałem się w niej jeszcze na studiach. To wspaniała kobieta. Nie znam żadnej, którą mógłbym z nią porównać.

Zapałił się, wypowiadał swoje pochwały gorączkowi, jak gdyby spodziewał się, że może Kozłowicz zechce podać jego twierdzenia w wątpliwość, gotów był do oparcia każdego zarzutu czy sprzeciwu. Kozłowiczowi przyszło na myśl, że być może Piotr znalazł w Teresie te cechy, których jemu samemu brakowało: rozmach życiowy, upór, energię. Słuchał cierpliwie, jak Piotr opowiada mu o ambicjach zawodowych swojej ukochanej, o tym, że imponuje mu jej żelazna wola i umiejętność podporządkowania sobie otoczenia. Słowem: kobieta nowoczesna w każdym calu, a przy tym piękna. Kozłowicz ciekaw był jednak, czy adoracja Lebiody ma charakter czysto platoniczny:

—
Dobrze już, dobrze. Zgadza się z tobą, że to nieprzeciętna indywidualność. Ale powiedz mi, czy zdradzała z tobą męża, od jak dawna i jakie mieliście dalsze plany życiowe?

Piotr zaczerwienił się jak sztubak:

—
To nie była zdrada. Oni już od dawna przestali być mężem i żoną w tym sensie, jaki ty masz na myśli. Od pięciu lat Teresa należy do mnie. I tylko do mnie.

—
Więc dlaczego Murachowie nie rozwiedli się? Przecież dzieci nie mieli, rozwód uzyskaliby łatwo. Piotr Lebioda znów się uniósł:

—
Nie rozumiesz tego, bo nie znasz Teresy. To wcielenie poczucia odpowiedzialności, obowiązku, dyscypliny. Powiedziała mi z góry, że nie odejdzie od męża, jeżeli on sam jej nie zaproponuje takiego rozwiązania. Mówiła, że jest mu potrzebna, bo to stary, nieszczęśliwy człowiek, który bez niej pozostałby zupełnie samotny. Musiałem przystać na taką sytuację. Wolałem takie ograniczenie niż całkowitą rezygnację z Teresy.

—
To doprawdy szlachetnie ze strony pani Murachowej — powiedział Kozłowicz z lekkim przekąsem — ale co na to wszystko sędzia? Nie przypuszczam, żeby w niczym się nie orientował. Zgadzał się na ten cichy trójkąt?

Piotr zawahał się, pewność siebie, z jaką bronił Teresy, ustąpiła zażenowaniu:

—
Nie wiem... Nigdy nie zdobyłem się na tak zwaną męską rozmowę z nim. Teresa zresztą nie życzyła sobie podobnych wyjaśnień. Ze swojej strony sędzia nigdy mi nie dał odczuć, że domyśla się,

jak wygląda sprawa. Bywałem u nich. Ostatnio wprawdzie rzadziej.

—
Dlaczego?

—
Od kilku tygodni Murach był jakiś dziwny. Opryskliwy, sprzeczał się o byle co. Parę razy wręcz oświadczył, że chce się położyć, albo że ma pilną robotę, więc lepiej, żebym sobie poszedł.

—
Więc jednak...

—
Ależ nie! Teresa mówiła, że postępuje tak nie tylko ze mną.

—
Podobno jednak posprzeczałyście się dwa czy trzy dni temu. I to ostro.

—
Widzisz, jaka jest Teresa. Od niej to wiesz, prawda?

Powiedziała ci, nie zważając, że to nas obciąża. Tak było, rzeczywiście. Ni stąd ni zowąd Murach zaczął domagać się ode mnie, żebym wyjechał z Kramna, jak powiedział „do jakiegoś większego miasta, gdzie miałbyś więcej szans”. Zdziwiłem się bardzo. Jest tu nas spora grupka osób, pierwszych osiedleńców, w których mocno zakorzenił się lokalny patriotyzm. Nikomu z nas nie przychodziło nigdy do głowy ruszać się stąd, żeby szukać „szansy”. Byłoby to potraktowane jako tchórzliwa ucieczka, jako zdrada. I Murach, jeden z najwytrwalszych i niezłomnych, proponuje mi nagle wyjazd!

Czułem się, jak gdyby piorun we mnie strzelił. Pomyślałem od razu, że może nie potrafi już dłużej znieść naszej dwuznacznej sytuacji towarzyskiej. Spytałem go możliwie najdelikatniej, czy chodzi mu o jakieś plotki na temat mojej przyjaźni z Teresą. Zachnął się. „Co za głupstwa” — powiedział — „plotki mnie nigdy nie obchodziły i nie obchodzą. Tu chodzi tylko o ciebie”. Ale ja uparłem się. Niby z jakiej racji, z powodu widzimisię Muracha mam porzucić pracę, którą lubię, miasteczko, które lubię, i kobietę, którą kocham?

Odpowiedziałem dość niegrzecznie, czego później żałowałem. Coś w rodzaju tego, że o moje sprawy to już ja sam najlepiej się zatroszczę i nie jestem dzieckiem, nie potrzebuję niczych wskazówek. Popatrzył na mnie dziwnie i

mruknął: „Uważaj, żebyś nie pożałował”.

—
Czy dokładnie w taki sam sposób zreferowałaś tę rozmowę pani Teresie? — Kozłowicz miał jeszcze żywo w pamięci inną nieco wersję rozmowy obu panów. Może jednak pani Teresa nie jest pozbawiona kobiecych słabostek: lubi schlebiać sobie, że dwaj mężczyźni gotowi są stanąć do pojedynku o jej serce.

Można byłoby rzecz całą oczywiście zbagatelizować pod tym kątem widzenia, gdyby w istocie jeden z rywali nie stracił życia.

—
Jasne, że tak. Widocznie sędzia wieczorem albo rano napomknął coś Teresie o naszej kontrowersji, bo zadzwoniła do mnie w południe. Mam teraz urlop, więc prawie cały czas poświęcam moim do-

świadczeniom. Byłem w domu. Powiedziała, że jej mąż jest właśnie w sądzie, że jest sama, dyżur ma dopiero wieczorem, nie będziemy mogli widzieć się po południu, a ona jest zaniepokojona, bo

jak to określiła

„Edward jest na ciebie wściekły”. Chciała wiedzieć, co między nami zaszło. Proponowałem, żeby przyszła do mnie, ale nie mogła, gotowała obiad. Więc ja poszedłem do niej.

—
Przy tobie przyrządzała tę sławetną sałatkę z papryki?

—
Tak. Kazała mi nawet spróbować, czy nie za ostra.

—
Co było dalej?

—
Opowiedziałem jej o tej sprzeczce. Piliśmy kawę. Kiedy wróciłem tam wieczorem, zastawa stała jeszcze na stoliczku, więc możesz sprawdzić, porucznik Socha wszystko to opisał w protokole. Postawiłem sprawę jasno: ta sytuacja nie może przeciągać się w nieskończoność. Zażądałem od Teresy, żeby wyjaśniła wszystko mężowi i żeby się zdecydowała. Ja — albo on.

—
I cóż ona na to?

—
Płakała. Pierwszy raz widziałem ją płaczącą. Prosiła o dzień, dwa do namysłu. Obiecała dać mi konkretną odpowiedź.

Przerwaliśmy naszą rozmowę, bo przyszła Urszula Wirkusówna.

Pewnie już

o niej słyszałeś. Sąsiadka. Pielęgniarka. W szpitalu nazywają ją cieniem doktor

Murachowej. Powiedzieć, że jest do niej przywiązana, to mało: uwielbia ją ślepo. Ale ja jej dziwnie nie lubię, jest aż za nachalna z tą swoją adoracją i służalczością. Więc poszedłem sobie. Do wieczora siedziałem w pracowni, o tutaj.

Potem wyskoczyłem na chwilę do spółdzielni po coś do zjedzenia i do centrali ogrodniczej po preparat owadobójczy.

Solibor miał go dla mnie zarezerwować, ale Solibora nie było, więc wróciłem do domu.

—
Podobno w tym czasie zdarzył się wypadek uliczny. Tu, na rogu, koło spółdzielni.

—
Podobno. Ale słowo ci daję, że nie zwróciłem na to żadnej uwagi. Wciąż myślałem o Teresie i o mnie, o nas, o tym, co robić. I o Murachu. Trudno było go lu bić, ale szanowałem go. Napisano o nim w naszej gazecie wojewódzkiej z okazji dwudziestolecia jego pracy w Kramnie

„nieugięty szermierz sprawiedliwości”. To pompatyczne i staroświeckie, ale bardzo słuszne. Taki był.

—
I wtedy przyszedł do ciebie Burnas z wiadomością, że sędzia zachorował.

—
Tak. — Piotr spochmurniał. Z ponurą miną zapadł w milczenie.

—
Czy byłeś w kuchni, kiedy pani Teresa przyrządzała sałatkę?

—
Tak.

Czy wychodziła z kuchni w tym czasie?

—

Tak. Poszła otworzyć drzwi siostrze Urszuli. Widzę, że twardo mnie podejrzewasz. — Lebioda powiedział to z gorzką rezygnacją — ale przysięgam ci, ja go nie otrujęm.

—

Nie denerwuj się. Po prostu to mój obowiązek. Muszę wszystko wiedzieć. Interesuje mnie jeszcze jedna sprawa: czym zajmował się sędzia poza swoją pracą? Tłumaczył żonie, że nie może wyjechać na kurację, bo ma jakąś pilną sprawę do załatwienia. Co to było, nie wiesz?

— Mógłbym się założyć, że chodziło o jakąś sprawę dotyczącą zbrodni wojennych.

—

Dlaczego tak sądzisz?

—

Bo to była pasja jego życia. Ukaranie ludobójców. Jego całą rodzinę, pierwszą żonę i dwoje dzieci, wykończyli hitlerowcy w obozie po powstaniu. Nie mógł znieść myśli, że mordercy bezkarnie chodzą po świecie. Wiem na przykład, że w Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich bardzo ceniono jego współpracę. Dostarczał im mnóstwo materiałów.

—

Stąd ta specyfika jego biblioteki. Teraz rozumiem.

—

Zeznawał w kilku procesach — dorzucił Lebioda.

—

Ciekawe — Kozłowicz zamyślił się. To nie jest takie proste rekonstruować życie nieżyjącego człowieka. Im więcej szczegółów — tym więcej konfliktów i komplikacji. Któryś z tych konfliktów zrodził zbrodnię. Ale który? Jeszcze jedno: — A jaki stosunek miała pani Teresa do tej pasji swojego męża?

Pytanie okazało się krępujące dla doktora Lebiody, ale jak zawsze, starał się usprawiedliwić Teresę:

—

Uważała, że Murach traci czas. Mówiła, że i tak wszystkich nie odnajdzie.

I że mamy dość ludzkich krzywd w dzisiejszych czasach. Że tym trzeba się zajmować. Tępić zło współczesne, a nie stare.

Nikogo się tym nie wskrzesi.

—

Znam taki punkt widzenia — odparł Kozłowicz — chociaż go nie podzielam. Stare zło jest bardzo żywotne. Nie schodzi dobrowolnie ze sceny. No, ale na mnie już czas. Zagadaliśmy się.

Piotr Lebioda poderwał się z miejsca skwapliwie. Widać było wyraz ulgi na jego twarzy. O co go jeszcze nie spytałem, o co powinienem być zapytać? — przemknęło przez myśl Kozłowiczowi. Nie był zadowolony z tej długiej rozmowy, chociaż wyjaśniła mu sporo spraw. Za rozmowny był Piotr Lebioda, takie obszerne wygłaszał relacje, takie okrągłe budował zdania. Kryje się w tym niewątpliwie jakaś zagadka, ale Kozłowicz do jej sedna jeszcze nie dotarł.

—

Pozwolisz, że wyjdziemy razem? — spytał Piotr od niechcienia — chciałbym pójść do Teresy. Na pewno potrzebuje pomocy. Chyba nie masz nic przeciwko temu. Chyba mi wolno?

Miała to być ironia, ale nie wypadła przekonywająco.

Wyczuwało się niepewność. może nawet załęknięcie.

Kozłowicz pomyślał: Biedny chłop. Wieczny romantyk. Czekają go jeszcze na pewno ciężkie dni. Trzeba go podtrzymać na duchu. Roześmiał się głośno i serdecznie klepnął Piotra po ramieniu:

—
Ależ idź, mój Romeo. Mój Judymie. Ty jesteś cały jak z książki przepisany. i przestań układać dla siebie akt oskarżenia, dobrze? Zostaw tę robotę fachowcom.

I znów było słoneczne popołudnie, jak poprzedniego dnia, gdy placyk na skrzyżowaniu ulic stał się widownią tragicznego wypadku. Grupa kobiet zgromadziła się przed spółdzielnią, na której zamkniętych drzwiach widniał napis: Przyjęcie to- waru.

Narzekały na stratę czasu, zaglądały ciekawie do wnętrza sklepu, w którym odbywało się tajemnicze misterium obliczania zawartości kilkunastu tekturowych pudeł i kilku skrzynek.

Próbowały zgadnąć, co też takiego dobrego dostarczono do sklepu. Rej wodziła pani Aniela Blinowa, komentując donośnym dyszkantem:

—
O, już obliczyli. Ona podpisuje. Nie. liczy. Coś jej się nie zgadza. Znów przeliczają karton. Nie, masło liczą.

Czerwone przywieźli. Nareszcie. To niebieskie do niemożliwości gorzkie.

Kury spacerowały beztrąsko po chodniku. Po jezdni goniły się psy. Przejechała furmanka, zatrzymała się koło centrali ogrodniczej.

Na podwórzu domu pod numerem siódmym bawiła się wielka gromada dzieci. Podwórze ogrodzone było niedbale siatką poprzerywaną w wielu miejscach. Wydeptany trawnik wskazywał, iż jest to stałe miejsce harców miejscowych Robinn Hoodów, Zorro, Wilhelmów Tellów, Świętych oraz wszystkich kolejnych potelewi- zyjnych wcieleń młodocianych amatorów bohaterskich przygód.

Kozłowicz i Lebioda przystanęli przed furką. Można było również od podwórza wejść do domu. Niekoniecznie przez wejście frontowe. Może wtedy właśnie wymykała się Teresa, wtedy przemykał Piotr, kiedy chcieli się spotkać bez narażenia na obstrzał czujnych oczu, patrzących z wielu okien domów, otaczających placyk na skrzyżowaniu ulic. Za podwórzem ciągnę-

ły się pola i opłotki. Można było wtedy wydostać się z domu lub dostać do niego, pozostając nie zauważonym. W każdym razie Piotr znał tę drogę.

W chwili, gdy zegnali się, nadfrunęło coś dużego i białego.

Myślałby kto, że zabłąkany ptak. Nie był to jednak ptak, chociaż coś ostrego jak dziobek boleśnie zadrapało policzek kapitana. Wrzask, który wypełniał podwórze, na chwilę ucichł.

Gromada chłopców spieszyła się. Kapitan był po cywilnemu, ale przecież Kramno to nieduże miasteczko, wszyscy już wiedzieli, że przyjechała ekipa MO z województwa i „szukają, kto zabił sędziego”.

—
Co to? — zaniepokoił się Piotr.

Kozłowicz schylił się, podniósł z ziemi napastnika, który pokornie położył mu się koło nogi.

Uśmiechnął się:

—
Nie widzisz? Gołębie z papieru puszczają. Może to nawet nie gołębie, a rakiety kosmiczne. Popatrz, jakie zgrabne.

Od pół powiał lekki wiatr. Papierowy ptak w podniesionej do góry ręce Kozłowicza zatrzepotał białymi skrzydłami jak gdyby był żywy. Jak gdyby zamierzał odfrunąć. Chłopcy przysuwali się nieśmiało, całą czeredą, bo tak raźniej. Co też robi ten wysoki, barczysty jegomość z ich zabawką? Czy im ją odda?

—
Czyje to? — zapytał Kozłowicz, starając się przybrać jak najpoważniejszy ton i najgroźniejszą minę.

—
Moje — z gromadki wysunął się piegowaty, nieopisanie ubrudzony trzynastolatek. Odważnie wyciągnął rękę — Pan mi odda. My tu zawody robimy, czyj dalej polecą. Mój poleciałby najdalej, gdyby pan tu nie stał.

Na potwierdzenie swoich słów zatoczył umorusaną ręką duże koło. W jego kręgu znalazło się rzeczywiście co najmniej kilkanaście podobnych „latadeł”. Białoszare, papierowe ni to gołębie, ni to odrzutowce upstrzyły gęsto wyrudziałą od suszy i słońca trawę,

Kozłowicz lubił dzieci, zwłaszcza chłopców. Znajdował z nimi zawsze wspólny język. Przypominały się własne chłopięce lata, nie tak beztroskie jak dzisiejszych dzieci, trudniejsze i biedniejsze, wypełnio

ne pracą nieraz ponad siły w gospodarstwach bogatszych sąsiadów, ale tym piękne, że zdolne zgrzebnej koszuli nadać połysk rycerskiej zbroi, a zwykłemu patykowi ciężar i ostrość miecza. Droczył się z piegusem:

—
Cóż ci na to poradzę, bracie? Kolidacja nastąpiła nie z mojej winy. Twój zdalnie kierowany samolot ma widocznie źle ustawione stery. Jak ci na imię, panie inżynierze?

—
Jurek. Źle ustawione stery? Ale! — konstruktor poczuł się urażony.

—
To Jurek Blina. Mieszka w tym domu — uzupełnił doktor Lebioda, podnosząc jeden z samolocików leżących na ziemi.

—
Zaraz to poprawimy — Kozłowicz rozprostował skrawek papieru, ale zamiast dopomóc młodocianemu konstruktorowi w naprawieniu błędu, zamiast po- ginać równiej i głębiej papierowe fałdy sterów, spytał poważnie, raptem już bez żadnego przekomarzania się, tak poważnie, że Jurkowi nie przyszłoby nawet do głowy, iż można od odpowiedzi wykręcić się sianem — skąd wy to macie?!

— A z tej grubej książki. O tam leży, w krzakach pod ścianą...

—
Pozbierajcie mi zaraz wszystkie te kawałki. Ale wszystkie, co do jednego. Muszę je mieć, to bardzo ważne —

zawołał Kozłowicz i jednym susem znalazł się przy ścianie domu, pod którą wśród krzaków mizernego bzu leżał gruby, w skórę oprawiony rocznik.

Był to ten rocznik, którego brak zauważył kapitan Kozłowicz na półce bibliotecznego sędziego Muracha. Na grzbiecie po- złączony napis głosił Berliner Illustrierte Zeitung, 1941.

Znajdował się w opłakanym stanie, okładka była podarta, spora część stron wyrwana. Ale dlaczego tak leżał i skąd się tu wziął? Stan biblioteki sędziego, charakterystyka jego stosunku do książek zasłyszana z ust Teresy Mura- chowej i Piotra Lebiody nie wskazywały

na to, aby sędzia zwykł był w tak barbarzyński sposób obchodzić się ze swym księgozbiorem.

Kozłowicz wstał z klęczek, trzymając oburącz gruby tom.

Uniósł głowę do góry. Tuż nad nim, na pierwszym piętrze, z otwartego okna powiewała firanka.

Poznał ją, pamięć wzrokową miał idealnie wyćwiczoną. To jest okno pokoju, w którym stoi biurko sędziego, stoją jego półki i w którym sędziego Muracha dosięgła śmierć. Tak zwany gabinet sędziego.

Ale nie tylko kapitan patrzył w górę, dziwiąc się drodze, jaką przebył rocznik niemieckiego pisma, zanim padł ofiarą chłopięcych namiętności. W górę spozierał również stojący obok niego doktor Lebioda. Patrzył nie bez powodu. W otwartym oknie, z którego powiewała firanka, jak w ramie obrazu, tkwiła kobieca postać. Jej jasne włosy i jasna cera wydawały się jeszcze jaśniejsze przy czarnej sukni, którą skromnie zapięła wysoko przy szyi piękną złotą kameą. Jej wzrok obojętnie spoczywał na scenie, rozgrywającej się na podwórzu. Piętro niżej, na parterze, okno było również otwarte. Przez moment wydało się Kozłowiczowi, że w głębi pokoju mignęła i skryła się kobieca postać. Przypomniał sobie rozkład mieszkań — to tu zapewne mieszka owa siostra Urszula, tak bałwochwalczo uwielbiająca doktor Murachową.

Kozłowicz odwrócił się. Jeszcze raz tego dnia zaskoczył go dawny towarzysz broni. Doktor Piotr Lebioda był tak blady, jak gdyby cała krew uciekła mu z twarzy. Nie protestował, kiedy Kozłowicz wyjął mu z zaciśniętej kurczowo ręki papierowy samolocik. Bez słowa skinął głową i zniknął w drzwiach sieni, prowadzącej z podwórza w głąb domu.

Zajęty podnoszeniem z ziemi rocznika i lustrowaniem okien domu, kapitan Kozłowicz nie zauważył, że prowodyr podwórkowej szajki, Jurek Blina, nie wywiązał się należycie z powierzonego mu

zadania. Nie wykonał w całości wydanego mu rozkazu. Nie wszystkie stronicie wyrwane z rocznika i obrócone na surowiec do budowy samolocików, zostały wręczone kapitanowi do rąk własnych. Jedna płachta zmięta w kulę nieznamnym ruchem ukryta została w kieszeni chłopięcych spodnek. Jurek Blina uważał, że ktoś, kto popsuł taką klawą zabawę, nie zasługuje w pełni na to, by go słuchano.

Inne oczy to jednak zauważyły.

ROZDZIAŁ 7

Na ławeczce, w poczekalni komendy powiatowej, siedziało dwóch mężczyzn. W życiu codziennym wiele ich dzieliło: pozycja społeczna, zawartość kieszeni, aspiracje życiowe. Teraz mieli wszakże, miny jednakowo zafrasowane i potulne. Czuli, że sprawa, o którą tu chodzi, stawia ich obu w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Szczególną satysfakcję z tego powodu odczuwał niewątpliwie Antoni Burnas. Zerkając z ukosa na potężną postać Eustachego Solibora, przemyślał, jaką by tu można było odnieść korzyść z tej racji, iż tak oto zrównał ich niespodziewanie zbieg okoliczności. Zrównał: to znaczy, że możnego pana Solibora los poniżył, a jego, chudopachołka Burnasa, wywyższył. Wniosek z tego oczywisty: niedługo są żniwa i jak co roku syn Solibora będzie w Kramnie wynajmować ludzi do pomocy. Burnasowie zawsze robili podczas żniw u Soliborów. Dniówkę dostawali nędzną: połowę tego, co płacą inni gospodarze innym robotnikom sezonowym, 50 złotych. W tym roku Burnas będzie robić sam, bo Wojtuś siedzi na państwowym wikcie. Więc niech mu płaci Solibor sto złotych dziennie, ani złociaka mniej, inaczej honor Antoniemu Burnasowi nie pozwala.

Już miał zamiar wygłosić do Solibora swoje ultimatum, gdy drzwi wejściowe otwarto i ukazała się w nich postać kapitana Kozłowicza, pracowicie dźwigającego pod pachą grubego rocznika pisma. Solibor poderwał się usłużnie, zgął się w niskim ukłonie i uśmiechając przymilnie pomógł kapitanowi otworzyć drzwi sekretariatu. Kapitan skinął głową, Solibor zatarł

pulchne rączki z zadowolenia i triumfująco spojrzął na Burnasa. Ten prostak nigdy się nie nauczy, że władzy trzeba się umieć przypodobać. Nigdy do niczego nie dojdzie.

Cóż to, przynosisz tu bibliotekę sędziego Muracha? —

zdziwił się Socha, kiedy Kozłowicz z rozmachem cisnął grube tomisko na biurko.

—
I owszem. Na razie częściowo. A skąd wiesz, że to od sędziego?

—
Bo sam mu te roczniki przewoziłem. Grzecznościowo.

Byliśmy z Romanem na odprawie w województwie. Wracaliśmy wozem. Patrzymy, a tu na przystanku autobusowym tkwi nasz sędzia z całą górą książek i klóci się z kierowcą, że musi się z tym zabrać. No więc załadowaliśmy sędziego i te tomiska do naszej warszawy i dostarczyliśmy go do domu razem z tym skarbem.

—
Kiedy to było?

—
Z miesiąc temu. Czy to ważne?

—
Jeszcze nie wiem. Zobaczymy. A co to za dwaj tam w poczekalni? Jeden gruby, drugi chudy. Wyglądają jak Flip i Flap.

Zaprosiłem ich na twoją cześć. Myślę, że interesują cię ludzie, którzy w dniu śmierci odwiedzili sędziego.

—
Jak najbardziej. Ale wolałbym, żebyś ty ich przy mnie przesłuchiwał. Ty ich znasz, nie będą cię bujać.

Kapitan Kozłowicz miał jedną cechę, która przysparzała mu wiele popularności i sympatii wśród kolegów: nigdy nie obnosił

się dumnie z wyższością swojej rangi. Uważał, że znajomość terenu i ludzi jest ważniejsza niż nadrzędność in-stancji, której był przedstawicielem. Socha odczuł miłą satysfakcję. Głos jego zabrzmiał energiczniej i donośniej niż zazwyczaj, gdy wychyliwszy się przed drzwi do poczekalni zawołał:

—
Obywatel Burnas Antoni. Pozwólcie tu!

Burnas łypnął okiem z góry na Solibora i wydał lekceważąco nie ogolone policzki. Proszę, kto tu ważniejszy, kogo w pierwszym rzędzie władza życzy sobie oglądać.

Przekroczył próg śmiało, z pewną nonszalancją bywalca lokalu. Wiedział z góry, że musi się trzymać ostro. To już nie byle jaka sprawa o wybicie po pijanemu szyby w SAM-ie. Usiadł, trzymając się sztywno, podziękował grzecznie za papierosa, którym poczęstował go Kozłowicz.

—
Obywatelu Burnas, byliście wczoraj w mieszkaniu sędziego Muracha?

Burnas przybrał ton trochę znudzony. Wycodził sennie:

—
Być byłem. Czemu nie miałem być?

—
Na herbatkę was sędzia zaprosił czy jak?

—
Pan porucznik to jest do mnie uprzedzony. Mnie tylko rozchodziło się o to, że pan sędzia Murach, za przeproszeniem, niesprawiedliwie rozsądził. Pokrzywdził Wojtusia, mojego brata. Pan porucznik

przecie Wojtusia zna i poświadczy: to dobry chłopak, tylko trochę krewki.

—
Znam — warknął Socha przez zaciśnięte zęby. Nie brzmiało to zbyt pochlebnie dla Wojtusia.

—
No właśnie. A jego baba to cholera, a nie kobita.

Głodzi Wojtusia. Należały się jej baty. Kobita to musi chłopu dać jeść, może nie? W przeciwnym bądź razie, co z niej za ślubna małżonka? A ona go w łeb wałkiem i za drzwi. I za to chłopak teraz się przesiedzi. Krzywda...

Socha nie podzielał tego zdania:

—
A wasz Wojtuś grosza złamanego od roku na dom nie dał.

Dzieciaki obdarte i głodne by chodziły, żeby Wojciechowa nie pracowała. Może wasz Wojtuś nie wy nosił z domu wszystkiego, co pod rękę mu wpadło i nie sprzedawał na wódkę z kumpelkami, co? Nie zaprzeczajcie, już ja dobrze wiem, jak było. Przesiedzi się, od wódki trochę odwyknie, a co w warsztacie zarobi, żona dostanie.

—
Pan porucznik to całkiem jak nie mężczyzna, słowo daję. Żadnego wyrozumienia...

—
No już dobrze. Dajmy spokój Wojtusiowi. Więc jak to było, kiedy byliście u sędziego.

—
Za pierwszym razem czy za drugim? — Burnas wyraźnie grał na zwłokę. Trochę się bał, ale czuł, że jest górą. Niczego mu udowodnić nie mogą.

—
I za pierwszym, i za drugim.

—
Za pierwszym razem, w obiad, zwyczajnie było. Pan sędzia przy stole siedział, z serwetką pod brodą, jakieś takie pomidorki jadł czy co, czerwone na talerzu, resztki sosu chlebem zebrał. Trochę się skrzywił, wodą popił. I przeprosił, że nie ma dla mnie czasu.

—
Aha, rozumiem. Wyprawił was za drzwi, tak?

—
Cóż takiego. Ale grzecznie.

—
I wyście poszli sobie?

—
Ano, poszłem. Co miałem robić.

—
Dokąd poszliście?

—
Ano, do gospody. Tronkowy nie je- zdem, pan porucznik wie, ale tak mnie gryzło, że musiałem sobie łyknąć jednego na pociechę. I zaraz mi się we łbie rozjaśniło. Poszłem do Wojtusiowej baby. Patrzę ci ja, a ona siedzi i beczy. Czego beczysz, głupia? Pytam ci ja ją. A ona mi na to: „To bez ciebie mojego Wojtusia wsadzili. Ty go na złe drogi wyprowadziłeś. Taki dobry był chłop.” To ja jej powiadam: No widzisz, tera żałujesz. A trzeba ci było na skargę na niego z ozorem na milicję latać i do preku- ratora? Widzisz, głupia.

Może najlepszy nie był, ale był. I z kim teraz pod de pachę w niedzielę do kościoła będziesz chodzić? Sama, co? Nie wstyd ci to być

dzie? Nie trzeba ci to było mnie powiedzieć, że pretensję do Wojtusia masz? Załatwiłbym z nim jak brat z bratem”...

—
"Burnas, Burnas, przestańcie, na litość boską! Nie interesują mnie w tej chwili wasze rodzinne sprawy.

—
Kiedy to się ma do rzeczy, panie poruczniku, jak mi Bóg miły. Bo ułożyliśmy z bratową, że ja pójdę jeszcze raz do sędziego i będę go prosić, żeby tak sprawę załatwił, żeby bratowa prośbę wniosła o zwolnienie jedyne go żywiciela rodziny. I że słowo damy rodzinne, że z Wojtusiem już ambarasu nie będzie nijakiego. I dlatego poszedłem do sędziego jeszcze raz.

—
Przecież wiedzieliście, obywatelu Burnas, tak jak całe Kramno, że sędzia w służbowych sprawach interesantów w domu nie przyjmuje.

—
Niby tak, niby nie. No bo jak: jednych przyjmuje, a innych nie?’

—
Jakich „innych”? Na przykład kogo?

—
A Solibora chociażby. Sam widziałem, jak wszedł do domu sędziego, a potem z niego wyszedł. Do taksówki wsiadł, do tej, co ją Wacus Kociuba ma, i pojechał. Więc dlaczegóż to mnie miałby nie wysłuchać. Albo ta babka, co ją zaraz potem przejechał Fryda na ulicy, jak od sędziego wybiegła...

—
Socha nastroszył się, Kozłowicz gwałtownym ruchem zgasił papierosa, o mało nie rozduśił glinianej popielniczki.

—
Skąd wiecie, że ta kobieta była u sędziego?

—
Ano Wacus Kociuba dziś w południe na postoju opowiadał. Wiózł ją z dworca podobnie. Bo o tym wypadku na postoju właśnie wszyscy gadali, i o tym, czy Fryda będzie siedział, czy nie, i czy prawa jazdy mu nie odbierają. A ja właśnie przy budce stałem, piwo piłem. Na upał najlepsze.

—
Socha potarł skronie. Ależ ten ma gadane! Mógłby stanąć do konkursu z Blinową. Więc ta kobieta... Trzeba będzie wezwać Kociubę.

—
Więc poszliście do sędziego po raz drugi. I co wtedy?

—
Wtedy to już nijak było. Pan sędzia leżał na dywanie i coś mamrotał, że wyrozumieć nie dało rady. Jedno zrozumiałem, żeby Lebiodę zawołać. Znaczy się — doktora Lebiodę. Nic go nie ruszałem, znaczy się, pana sędziego, jak mi Bóg miły, panie poruczniku. Cofłem się i biegiem po doktora.

—
A jak weszliście do mieszkania sędziego?

—
Zwyczajnie. Drzwi były otwarte, zapukałem i wszedłem.

—
Socha spojrzał pytająco na Kozłowicza. Co robić z gagatkiem?

—
Kozłowicz chciał się jeszcze upewnić co do kobiety, którą potarła ciężarówka:

—
Powiedzcie mi, obywatelu Burnas, czy widzieliście na własne oczy, że ta kobieta, którą przejechał samochód, wychodziła z domu sędziego?

—
A tak, tak. Koło spółdzielni stałem, w bramie.

Czekałem, żeby Solibor od sędziego wyszedł, bo z tej bramy wszystko widać na całym placyku. Ale zanim on wyszedł, ta babka weszła. I znów musiałem czekać, ale już nie za długo.

Wyskoczyła z tej bramy, jakby ją licho gnało.

I prosto Frydzie pod koła.

Kozłowicz skinął nieznacznie głową. Socha zrozumiał:

—
Zapisałem tu wasze zeznania, obywatelu Burnas.

Przeczytajcie i podpiszcie. — Podsunął Burnasowi arkusz z protokołem.

—
A na cóż ja to czytać będę? — Burnas uniósł się honorem. W głosie jego dały się słyszeć ciepłe nutki, nie pozbawione poczucia swoistej dumy. — Cóż to ja pierwszy raz tu czy co? Czy to my się nie znamy z panem porucznikiem? Ja wiem, że tu wszystko słowo w słowo, jak mówiłem.

Złożył pod protokołem zamaszty pod pis i odmaszerował sprężystym krokiem, jak człowiek, który należycie spełnił swoją powinność.

—
Winszuję ci komeraży — mruknął kpiąco Kozłowicz.

—
Nie ciesz się — mruknął Socha — zaraz zobaczysz drugiego. Gorszy.

Eustachy Solibor, nie wołany, już stał na progu i kłaniał

się unizenie. Kozłowicz zrozumiał, co Socha miał na myśli. Po, Burnasie wiadomo, czego się można spodziewać. Po tym panu —

nie wiadomo. Trzeba ciągle mieć się na baczności.

Kanciasta twarz o ciężkich rysach uśmiechała się przymilnie, jak wtedy, gdy jej posiadacz pomagał Kozłowiczowi przedostać się przez drzwi, z rocznikiem pod pachą. Solibor usiadł, zatarł rączki, wyciągnął srebrną papierośnicę, poczęstował obu oficerów bułgarskimi papierosami. Nagle zerwał się z krzesła, pospiesznie podreptał ku ścianie, gdzie na etażerze tkwił

samotny asparagus. Roślina wyglądała dość nędznie.

Sprzątaczką moczyła się z trojgiem dzieci w Bałtyku, kwiatka nie miał kto podlewać.

—
Aj, aj, aj — ubolewał płaczliwie pan Eustachy Solibor

— czy to nie wstyd, żeby nasza władza nawet ładnej zieleni w gabinecie nie posiadała? Ja tu jutro przyślę z centrali panu porucznikowi trzy paprocie. Takie paprocie! Jak dęby!

—
Daj pan spokój z paprotkami — przywołał Solibora do porządku Socha — pomówmy raz poważnie, panie kierowniku.

Solibor zachnął się, ale w porę stłumił odruch protestu. Jak ktoś nie chce dostrzec jego gestu dobrej woli, to nie trzeba.

Sam sobie winien. Niech im tu pokrzywy porosną.

—
Słucham — przybrał oficjalny ton.

—
To my słuchamy — Socha nie miał zamiaru ułatwiać Soliborowi życia.

—
Aaaa — Solibor rozciągnął wąskie wargi w szerokim, domyślnym uśmiechu, który był zupełnie nie na miejscu — już rozumiem. Wedle tego, że byłem u sędziego Muracha wczoraj w domu.

—
Właśnie — odparł lakonicznie porucznik.

Kozłowicza ubawił ten pojedynek, chociaż sprawa nie była wcale śmieszna. Drobnym, szczupłym Socha trzymał uniesiony do góry długopis i kołysał nim lekko, dając do zrozumienia przeciwnikowi, że gotów jest do utrwalenia jego bezcennych wypowiedzi. Naprzeciwko niego tęgi, naburmuszony Solibor patrzył spode łba ponuro, mimo uśmiešku na twarzy.

—
No więc, jak pan porucznik może już słyszał, moja świętej pamięci ciocia, Pelagia, Soliborówna z domu, pochowaw-szy dwóch mężów, przy dobrym jeszcze zdrowiu wstąpiła po raz trzeci w związki małżeńskie z niejakim Wiewiórkiewiczem Józkiem, także wdowcem, co mu dwie poprzednie żony zmarły. No i...

Socha stracił cierpliwość i klepnął dłonią w biurko z taką furją, że wszystkie przedmioty na jego blacie podskoczyły:

—
Nie interesują nas, panie kierowniku, szczegóły waszej rodzinnej sprawy. W tym całym spadku po cioci Pelagii sam diabeł się nie rozezna. My nie sąd. Nas obchodzi, co pan robił w mieszkaniu sędziego Muracha wczoraj po południu.

—
Pan porucznik nie wniknie i unosi się. Zbyteczne —

Solibor zrobił obrażoną minę. — Zresztą, jak pan porucznik sobie życzy. Ja wiem jedno. Że racja jest mola. I właśnie dlatego poszedłem do pana sędziego Muracha, niech mu ziemia lekka będzie, żeby mu dokumentnie wszystko wyłożyć, co i jak.

Żeby wniknął. W sądzie to wiadomo, pośpiech, szach-mach i po wszystkim. A tu sprawa delikatna. Więc zabrałem ze sobą dokumenty i myślę: najlepiej by było, żeby je sobie wszystkie przed sprawą obejrzał, w domu. Ewentualnie przy kieliszku. Pan sędzia trunkowy nie był nigdy, ale wiedziałem, że dobrym koniackiem francuskim nie gardzi. Wziąłem ze sobą tą ką butelczynę. Nawet napoczętą. Żeby pan sędzia się nie obraził. Żeby broń Boże nie pomyślał, że to jakaś łapówka. Bo nasz sędzia to wrażliwy był na takie rzeczy.

—
A sędzia wyrzucił was za drzwi razem z papierkami i koniackiem — Socha widocznie dobrze znał sędziego, przewidywał jego reakcje.

—
O, to się pan porucznik grubo myli — Solibor wypiął dumnie potężne brzuszysko i przybrał niedbałą pozę.

— Jak to?

—A tak. Pan sędzia siedział przy biurku nad takim grubym rocznikiem. O, za pozwoleniem — przechylił się przez szklany blat i przyjrzał się rocznikowi leżącemu na biurku przed Kozłowiczem — nad takim właśnie jak ten. Drzwi frontowe były otwarte, więc wszedłem. I widzę, że coś niedobrego z nim się dzieje. Wołał „pić”. I tak jakby chciał wstać od biurka, ale nie mógł. Moja flaszczyka ma zamiast zakrętki taką małą szklaneczkę. Pomyślałem, że jak słabo, to lepszy koniak niż

woda. Nalałem i podałem mu. Wypił. Zrobiło mu się lepiej. Ale na papierki patrzeć nie chciał. Ręką pomachał, powiedział

„Dobrze, dobrze” i coś jakby „ju- tro”. Grzecznie się ze mną obszedł, nie powiem. A pan porucznik to zaraz... Nie wnuknie i posądza.

Kozłowicz zrobił przepaszający gest w kierunku Sochy i włączył się w przesłuchanie:

—
Kiedy pan wychodził z domu sędziego, czy nie spotkał pan kogoś na schodach?

Solibor zmarszczył czoło. Nie podobało mu się, że milczący dotychczas oficer wtrąca się do sprawy. Czego oni chcą, kogo podejrzewają?

—
A spotkałem, spotkałem — potwierdził dobrodusznie — taka starsza, chuda paniusia biegła przez sień. Spytała mnie jeszcze, czy tu mieszka sędzia Murach, pokazałem jej, że na piętrze.

— Która to była godzina?

—
Dokładnie nie powiem. Ale Wacusz będzie wiedział.

Kociuba, taksjarsz. Stał akurat przed bramą, więc skorzystałem, żeby do syna skoczyć. Przed sprawą jeszcze to i owo omówić.

Jeżeli pan porucznik sobie życzy, zaraz Wacka tu sprowadzę, stoi na dole ze swoją gablotą, bo mi pilno do centrali.

Klienci czekają, a ja tu tyle czasu...

Złożył pulchne rączki jak do modlitwy.

—
Dobrze — zgodził się Socha — wołajcie Wacusia.

Mrugnął znacząco do Kozłowicza. Kapitan zrozumiał. Kociubę trzeba i tak przesłuchać. Dziwna starsza pani, której życie tak tragicznie i niespodziewanie dobiegło kresu tego samego dnia i o tej samej porze, gdy umarł sędzia, zbyt często pojawia się w zeznaniach świadków. Jaką rolę odegrała w sprawie śmierci sędziego Muracha? Trzeba to wyjaśnić. Wacusz Kociuba stał i ocierał kroplisty pot z czoła. Nie lubił

przesłuchań na milicji. Dla żadnego kierowcy jeszcze nic dobrego z tego nie wynikło. A nuż odkryją, że najwyższa pora zmienić ogumienie kół w jego łajbie?

— Gorąco? — zauważył współczująco Socha, podsuwając kierowcy szklanekę z wodą sodową.

—
Ano. Spróbowałby pan porucznik po- posiedzieć na ten upał cały dzień w wozie. Za przeproszeniem, jak kurczak w piekarniku.

Wacusz Kociuba przesłuchań nie lubił wprawdzie, ale władzę szanował. Bez żadnych oporów wyjaśnił, iż spod dworca kolejowego zabrał pasażerkę, która przyjechała pociągiem, przychodzącym do Kramna o godzinie siedemnastej czterdzieści pięć. Z dworca jedzie się na ulicę Pierwszego Maja siedem, osiem minut. Minuta na płacenie. Ledwie pasażerka zdążyła wejść do sieni, jak wyszedł stamtąd Solibor i zatrzymał

taksówkę, zanim Kociuba zdążył ruszyć. Tak więc o godzinie siedemnastej pięćdziesiąt pięć pan Wacio z nowym pasażerem wyruszył do Kamionek.

Nie należy jednak przeceniać szczerości pana Wacia. O

przebiegu rozmowy z Eustachym Soliborem nie wspomniał ani słowem. Nie pytają go, nie jego

rzecz. Dyskrecja to jedna z podstawowych zalet taksówkarza — twierdził zawsze pan Wacio.

Kierowca taksówki jest jak ksiądz, jak lekarz i jak adwokat.

Mało co ludzie plotą, kiedy taksówką jadą? Zwłaszcza, kiedy widzą, że na życzliwego człowieka trafili.

Ubolewał natomiast nad wypadkiem, któremu uległa jego pasażerka:

—

Ale ja się tam nie dziwię, że jej się coś takiego przytrafiło — oświadczył na końcu swych wynurzeń — ja bym się dziwił, panie poruczniku, gdyby ona cała do domu wróciła. Taka była jakaś... No, dziwna.

—

Dlaczego? — Socha coraz bardziej zaczynał interesować się nieznajomą.

—

Taka, jak by tu powiedzieć, nerwowa. Najsampierw wyskoczyła z poczekalni jak z procy. Jakby ją kto gonił. Do wozu też mi tak wskoczyła znienacka. Podała adres, ale nie знаła go dobrze. Pytałem ją czy do sędziego, to się przelękła.

I w ogóle była taka... kołowata. Ot co. Ja tam nie winuję Frydy, że mu pod wóz wpadła. Jak nie on, to byłby ją kto inny przejechał. Żeby to był chłop, a nie kobita, powiedziałbym: pijany. Ale pijana ona nie była, nie. Tylko o... — stuknął się znacząco w czoło.

Mniej więcej to samo powiedzieli

o przyjeźdźnej — Matyldzie Krychowej — ludzie ze stacji, przepytani przez funkcjonariuszy z ekipy kapitana Kozłowicza: zawiadowca, bufetowa, kioskarka z „Ruchu”. Kto jednak mógłby zrelacjonować, czy Matylda Krychowa dotarła do mieszkania sędziego, co w nim zastała, co robiła, jaki przebieg miała jej rozmowa z sędzią — jeśli taka rozmowa w ogóle

się odbyła — i kiedy opuściła to mieszkanie, w jakich okolicznościach? Była tylko jedna osoba, która mogła wiedzieć coś na ten temat, ale Socha wzdrygał się cały na myśl o dyskusji z panią Anielą Blinową. Inne wyjście wszakże nie istniało.

Aniela Blinowa, wezwana po raz wtóry do komendy, miała wyraz twarzy triumfujący. Aha, przysłała koza do woza.

—

Gdyby pan porucznik mi nie przerywał, kiedy zeznawałam, za pierwszą razą, wszystko bym powiedziała. Ale jak ktoś nie chce słuchać... — wzruszyła ramionami.

Socha spojrzał błagalnie na Kozłowicza. Kapitan zrozumiał.

Socha odstępował mu bezinteresownie przyjemność nawiązania kontaktu z wszechwiedzącą osobą. Dla odmiany Kozłowicz stał

się prawie niemową. Wystarczyło zadać jedno pytanie: potok słów chlusnął jak wezbrana rzeka. To trudno tak długo tać w sobie rewelacje. Socha nie nadązał z notowaniem:

—

Słyszałam, jak się tam ktoś ciurkiem kręcił, to ten, to ów, bo ja, panie kapitanie, nawet myszę rozpoznam, kiedy pod podłogą skrobie. Najsainpierw wy-, szły z domu pani doktor Murachowa i Wirkusówna. Wirkusówna wołała przez schody, że późno i sklep zamkną, a ona chce jeszcze coś kupić.. Pani doktor drzwi zainkła, ale zamka nie spuściła. Bo jak ona zamek spuszcza, to u mnie słychać. Widać źle naoliwiony, trzaska, jakby chto z karabinu strzelał. W naszym domu często zostawiamy tak drzwi, bo mało kto tu chodzi. Klientki do męża chodzą do zakładu z ulicy, do Wirkusówny aby tylko Fryda na kolacyjkę, pani doktor prywatnie nie leczy, sędzia w domu z nikim nie chce gadać, to i kto ma chodzić. Więc jak one poszły, wpakował się Solibor. Wiem, bo

wyjrzałam na schody, słyszałam kroki, a jego trudno nie słyszeć, kawał chłopa.

Niedługo był, poszedł, Zara za nim ta kobitka przygnała. Co to ją przejechało. A ja akuratnie do wyjścia się szykowałam, po jajka, bo mi do klusków zbrakło. Więc stałam na schodach. Jak weszła, drzwi zostawiła na schody uchylone, a przez przedpokój gabinet sędziego na wprost widać. Sędzia siedział przy biurku, tak ci jakoś pochylony, ona coś mu gadała, a potem filizankę ze stoliczka złapała, nalała czegoś tam do niej i podała mu.

Jeszcze mu głowę przytrzymała. A potem to jak nie hycnie, jak nie wyskoczy, o mały włos byłaby mnie przewróciła, bo blisko tych drzwi stałam. I tup, tup, tup na dół. To ja za nią.

Chciałam zapytać ją, co się stało, o co się rozchodzi, no bo człowiek człowiekowi musi pomóc, jakby co, nieprawda? Ale nic nie zdążyłam. Ani jej powiedzieć, ani zatrzymać. Wyskoczyła, no i już. Zbiegowisko się zrobiło, ale że ja uczuciowa jestem, widoków takich nie mogę widzieć, jajek tylko w sklepie dokupiłam, i jak z niemi do domu wracałam, to już tylko Antka Burnasa spotkałam, kiedy po schodach od sędziego zbiegał.

Jeszcze go ob- sztorcowałam, że taki nachalny. A potem to już tylko doktor Lebioda przyszedł. Niech pan mi powie, panie kapitanie, to ta stara sędziego zabiła, prawda?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, ale Socha uprzedził załamane duchowo Ko- złowicza, że będą musieli ponosić całkowitą odpowiedzialność za wszelkie wersje, które tego wieczoru dzięki elokwencji Anieli Blinowej krążyć zaczną po Kramnie. Każdemu będzie przysięgać, iż w największej tajemnicy milicja wyznała jej, że zabójca sędziego Muracha już jest znany. „Ale karząca ręka Opatrzności już jej dosięgła, moja pani. I pomyśleć, żeby taka staruszka, co nad grobem stoi, sądu boskiego się nie bała...”

Nastąpiła teraz, jak to podczas każdego śledztwa bywa, chwila zastoju. Zdawałoby się, że sprawa nie posuwa się wcale naprzód. Tak jednak nie było. Ludzie Kozłowicza pracowali energicznie. Ktoś jeden sklejał starannie podarty rocznik Berliner Illustrierte, ktoś drugi skrupulatnie badał pojazd Frydy, ktoś inny penetrował wszelkie miejsca w Kramnie, gdzie byłaby dostępna atropina. Ktoś jeszcze poufnie konferował z ordynatorem szpitala powiatowego, usiłując dowiedzieć się, jak zrodziło się w nim podejrzenie, iż powodem śmierci Matyldy Krychowej były nie tylko obrażenia, odniesione podczas wypadku.

Kozłowicz wertował archiwum sędziego Muracha, dotyczące zbrodni hitlerowskich popełnianych na cywilnej ludności, a Socha po raz dziesiąty ponaglał telefonicznie Skierniewice, aby jak najszybciej przysłano do Kramna siostrę Matyldy Krychowej, z którą Krychowa mieszkała od zakończenia wojny.

Wieczorem w komendzie odbyła się odprawa. Z odprawy tej pozostały w notesie kapitana Kozłowicza następujące notatki: 1.

W roczniku Berliner Illustrierte brak jednej strony.

Na tej stronie znajdowała się prawdopodobnie druga część reportażu ze szpitala dziecięcego w Guterhofie. Trzeba tę stronicę odnaleźć.

2.

Ciężarówka Frydy jest technicznie sprawna. Szybkość jazdy, na chwilę przed wypadkiem, wynosiła około 40 km na godzinę, ale fakt, iż ofiara wypadku po prostu na oślep biegła pod koła, uniemożliwiło zahamowanie wozu. Fryda był trzeźwy.

Zatrzymany lamentuje nad swoim losem. Trzeba zwolnić do sprawy.

3.

Atropinę otrzymać można w Kramnie w trzech miejscach: w szpitalu, w aptece i w pracowni

doktora Lebiody. W szpitalu, niestety, nie da się stwierdzić, czy rozchodowano większą ilość tego leku. Szafka jest zamykana niedbale. Nadzór wątpliwy. W aptece rozliczenie atropiny zgodne z receptami, w lekach przygotowanych zawartość trucizny tak minimalna, iż nie mogłaby spowodować niczyjej śmierci. W mieszkaniu sędziostwa Murachów nigdzie śladu po atropinie nie znaleziono. Podczas obiadu cała sałatka została zjedzona, talerze starannie umyte, słoik również. W pracowni doktora Lebiody niczego sprawdzić nie można, substancje trujące trzymane są w szafie pancерnej, ale sam doktor nie wie, ile czego tam jest.

4.

Sekcja zwłok Matyldy Krychowej potwierdza diagnozę ordynatora szpitala: obrażenia były poważne, lecz śmierć w ich wyniku nie mogła nastąpić tak szybko. Ranna powinna była żyć jeszcze co najmniej przez kilkanaście godzin. Zgon nastąpił w wyniku przedawkowania morfiny. Siostra Wirkusówna, która robiła rannej zastrzyk, twierdzi, że taką ilość kazała jej wstrzyknąć doktor Murachowa. Doktor Murachowa twierdzi, iż siostra Urszula musiała przesłyszeć się, albo po prostu pomylić. Nie wyklucza jednak, iż mogła sama pomylić się, dyktując dawkę. Akurat wtedy telefonował do niej doktor Lebioda z wiadomością, iż mąż jej ciężko zaniemógł.

5.

Zbadano resztkę zawartości puszki z kawą, którą parzyła doktor Murachowa dla ratowania męża. Okazuje się, że sędzia Murach przechowywał w swoim biurku kawę bezkofeinową pochodzenia zagranicznego, którą kupował w komisie w Katowicach. Ta kawa nie mogła pomóc sędziemu, gdyż tylko prawdziwa kofeina stanowi odtrutkę na atropinę. Mogła go natomiast trochę utrzymać przy życiu kawa podana przez Matyldę Krychową, jeśli wierzyć Anieli Blinowej. Ale kawy tej było trochę, minimalna ilość. W każdym razie na filiżance stwierdzono ślady palców Krychowej.

Zachodzi pytanie, czy to nie ona podała truciznę? Raczej nie, skoro już podczas wizyty Solibora sędzia wykazywał objawy charakterystyczne dla zatrucia atropiną.

6.

W szufladzie biurka sędziego Mura-cha znaleziono zdjęcie młodej kobiety z dwojgiem dzieci i psem. Zdjęcie jest stare i zniszczone, wygląda tak, jak gdyby ktoś je często brał do ręki. Teresa Murachowa stwierdza, że to zdjęcie rodziny sędziego, zamordowanej w obozie.

Kapitan Kozłowicz zamknął notes i zamyślił się nad losem człowieka, który nie czuł potrzeby otaczania się podobizną twarzy pięknej, młodej żony, tylko wciąż ukradkiem sięgał do szuflady, w której jak skarb leżało zdjęcie dawno nieżyjącej rodziny. Czy taki człowiek mógłby na przykład popełnić samobójstwo? Chyba nie. W każdym razie nie z rozpaczy po tamtych, umarłych, gdyż w ich jak gdyby imieniu ciągle był

czynny, ciągle ścigał zbrodniarzy. Celu jeszcze nie osiągnął, czemu by więc miał przerywać życie poświęcone jego realizacji?

No i na pewno nie popełnił samobójstwa z miłości do Teresy.

Gdyby ją naprawdę kochał, na pewno stałoby na jego biurku w ramce piękne, wypracowane, gabinetowe zdjęcie, na które patrzyłby w chwilach jej nieobecności.

Więc nie samobójstwo. Nie przypadek — bo niby jak, skoro w mieszkaniu sędziostwa w ogóle prawie żadnych lekarstw nie było, więc o żadnej pomyłce nie może być mowy.

Skoro zaś jedno nie i drugie też nie — pozostaje jedyna wersja: morderstwo. Ale komu z ludzi, którzy tego dnia prze-winęli się wokół Kozłowicza, sędzia Edward Murach tak bardzo zagrażał, tak stał na zawadzie, że ów ktoś pozbawić go musiał życia?

Przez otwarte okno w gościnnym pokoju komendy kapitan widział ciemne, pogodne niebo, pełne

gwiazd. Pogodne niebo nad małym, zdawałoby się, spokojnym miasteczkiem, w którym rozegrała się wielka tragedia. Podwójna tragedia. Tu się rozegrała, ale zacząć się musiała gdzie indziej i kiedy indziej. Kto wie jak dawno.

Morderca, jak widać, jest śmiały, jest na wszystko zdecydowany. Na co jeszcze będzie go stać? Kapitana Kozłowicza ogar

nał głęboki, drażniący niepokój. Zasnął dopiero o świcie.

ROZDZIAŁ 8

Nazajutrz w południe Kramno wyglądało tak, jak gdyby nagle opuścili je w popłochu wszyscy mieszkańcy. Uliczki były puste, pokoje biurowe opustoszałe, stoliki w gospodzie i kawiarni wolne. Nawet w drzwiach niektórych sklepów umieszczono wywieszki: Zaraz wracam, Przerwa. od 12-tej do 13-tej, albo po prostu Remanent. Kto żyw, udał się na pogrzeb sędziego Muracha. Jedni z życzliwości dla zmarłego, drudzy z życzliwości dla doktor Murachowej, inni jeszcze z obowiązku lub ciekawości.

W wyludnionym niemal zupełnie lokalu komendy powiatowej Kozłowicz czuł się jak rozbitek na nie zamieszkaną przez nikogo wyspie. Nie poszedł na pogrzeb sędziego nie tylko dlatego, że wzdragał się zawsze przed ceremoniami żałobnymi, mającymi związek z człowiekiem, którego śmierć była przedmiotem prowadzonego przez Kozłowicza śledztwa; wkraczał

wprawdzie w życie osobiste takiego człowieka, lecz czynił to jak gdyby bezosobowo: jako siła strzegąca porządku w mię-

dzyludzkich stosunkach. Ostatniej drodze każdego człowieka należy się szacunek, czynienie z niej jeszcze jednego etapu śledztwa kapitan uważał za nieprzyzwo- utość, udział zaś w charakterze prywatnym stawiałby go w rzędzie gapiów i nie-proszonych intruzów.

Był wszakże inny jeszcze powód nieobecności kapitana Kozłowicza na pogrzebie sędziego Muracha. Wziął na siebie rozmowę z siostrą Matyldy Krychowej. Przyjechała w południe.

Cisza i pustka

w komendzie były właściwie na rękę Kozłowiczowi. Nikt nie wchodził bezustannie, nie wychodził, po korytarzach nie rozlegały się nawoływania, nie dzwoniły telefony. Mógł skupić się, skoncentrować myśl na tym wątku sprawy, który wydawał mu się, nie wiedzieć czemu, tak istotny. Socha mniej przywiązywał

wagi do udziału Krychowej w sprawie śmierci sędziego, określał

ją jako staty- stkę lub kibica, nie widział w niej jednej z głównych postaci dramatu. Jeszcze tego rana forsował wersję zabójstwa na tle uczuciowym. I jakkolwiek ciężko mu to przychodziło, nie cofał się przed oskarżeniem dwojga ludzi, których darzył szacunkiem i sympatią: — Albo Murachowa nie wytrzymała już dłużej tej sytuacji, albo doktor Lebioda postanowił poświęcić się dla swojej ukochanej i dać jej wolność.

—
Widzę, że Solibora i Burnasa całkowicie eliminujesz.

Lekceważysz także Anielę Blinową, chociaż te stale nie za-mykane drzwi wejściowe w mieszkaniu sędziego i dla niej stały otworem... Kto wie, jakie ona na przykład mogła mieć pretensje do sędziego.

—
Solibora nie widzę w roli mordercy. Cwany gość, interesiki lubi robić, ale za bardzo uwielbia pieniądze, które mu dość łatwo przychodzą, żeby ryzykować głowę, swoją albo nawet cudzą. O Soliborze powiem stanowczo: próba przekupstwa, łapówka — to tak, ale morderstwo — nie. Burnas też chyba odpada: To prymitywny typ, o atropinie w życiu nie słyszał, a gdyby usłyszał, myślałby, że to nowy gatunek wódki.

Wzmiankę o Anieli Blinowej, jako ewentualnej podejrzanej, Socha skwitował lekkim wzruszeniem ramion. Dyscyplina służbowa nie pozwalała mu jaśniej wyrazić, co sądzi o takich pomysłach, lęgnących się w głowie wyższej rangi.

Mimo przekonywających sugestii Sochy, Kozłowicz nie potrafił jakoś jednoznacznie

nie i z pełnym przeświadczeniem sprowadzić sprawy sędziego Muracha wyłącznie do dramatu miłosnego. Nie przemawiał do niego na przykład argument doktora Piotra Lebiody, że hamulcem powstrzymującym Teresę przed zerwaniem z mężem była świadomość, iż jest mu potrzebna. Ta kobieta nie wydawała się Kozłowiczowi stworzona na męczennicę. Jej wypowiedzi dotyczące męża pozbawione były ciepłej życzliwości. Na pewno, gdyby naprawdę chciała od niego odejść, mogłaby i byłaby zdolna po prostu do przeniesienia się gdziekolwiek poza Kra- mno. A czy kochała Piotra, czy tak bardzo chciała być z nim razem, że aż popełniła zbrodnię z tego powodu? Kapitan nie mógł jakoś w to uwierzyć. Już bardziej pasowałaby mu wersja Sochy dotycząca Piotra. Impulsywny, romantyk, zaślepiony w miłości. Ale to była akurat ta wersja, którą Kozłowicz najchętniej by obalił.

Czuł się nią osobiście dotknięty i rozgoryczony. Był wściekły, że ma do czynienia ze sprawą, w którą zaplątał się jego dawny kolega, towarzysz broni, może nawet więcej — bo dawny przyjaciel. Tym skwapliwiej czepiał się każdej ulotnej nawet myśli, cienia poszlaki, odsuwającej winę od Lebiody.

Tak zatem poszedł tropem rocznika, wyrzuconego z okna mieszkania sędziego. Że rocznik spadł z okna, potwierdziły badania śladów, jakie twarda okładka wyłobiła w miękkiej ziemi. Sierżant Grabek, zaprzyjaźniony z miejscową dzieciarnią z tej racji, iż jako posiadacz pięciorga dzieci umiał i lubił

patronować wielu poczynaniom, takim na przykład, jak filatelistyka, filumenistyka, majstrowanie i podwórkowe mecze piłki nożnej, sobie tylko wiadomymi drogami wywiedziały się, że niejaki Grzesiek, zwany Hulajnogą, kolega Jurka Bliny, na własne oczy widział, jak sędzia osobiście stanął w oknie i zepchnął rocznik pisma z parapetu w krzaki na podwórku. A więc to

nie przypadek sprawił, iż ów rocznik znalazł się poza mieszkaniem sędziego w chwili jego śmierci. Co umierający człowiek chciał przez to osiągnąć? Czy przed kimś chciał ochronić ten rocznik? Czy chciał komuś zwrócić na niego uwagę?

Kozłowicz w duchy nie wierzył, był materialistą, wyśmiewał

się z tak zwanych przeczuć i wpadał w złość, kiedy koledzy podrwiwali, że ma „nosa”, albo inaczej mówiąc intuicję. Ta opinia o nim krążyła nie bez powodu. Zdarzało się często, że rozwiązywał różne zagadkowe sprawy, z którymi najlepiej wyposażone laboratoria milicyjne i świetnie zorganizowany aparat nie potrafiły sobie poradzić. W takich właśnie sprawach, które wydawały się niewykrywalne, umiał z imponującą zręcznością dopasowywać elementy, pozornie nie mające ze sobą nic wspólnego. A jednak Kozłowicz strzelał celnie. Okazywało się w rezultacie, że wszystko do siebie pasuje zgodnie z jego przewidywaniami. Tłumaczył się potem z zażenowaniem. Według niego ludzie, przedmioty do nich należące, sprawy między nimi dziejące się, posiadają dwojaką logikę. Jedną — zewnętrzną, powierzchowną, dostrzegalną na pierwszy rzut oka. I drugą —

wewnętrzną, utajoną. Dobrać się do tej drugiej, tej istotniejszej, ważniejszej — oto w czym rzecz. Krył się z tym, ale wypraktykował, że tę drugą logikę, ten podsens rzeczy trzeba czasami po prostu wyczuć, podsłuchać. Tak jak operuje się radarem albo noktowizorem.

Do kogo z osób dramatu, który rozegrał się w Kramnie, pasował mu stary rocznik niemieckiego pisma z okresu wojny, tak bez reszty absorbujący gasnącą myśl sędziego Muracha, że umierający człowiek zdobył się na nadludzki wysiłek? Jeśli sędzia chciał ukryć coś, co wiązało się z tym

rocznikiem, czemu nie schował go gdzieś w domu albo w sądzie w swoim gabinecie? Czemu dramatycznym, jak gdyby teatralnym gestem rzucił go na podwórze, prawie na ulicę, ludziom pod nogi, dosłownie byle komu z przechodni, każdemu obcemu, kto by tylko zainteresował się bezpańsko poniewierającą się pod krzakiem książką? Była w tym jakaś tajemnica.

Tajemniczą była również osoba Matyldy Krychowej, stałej mieszkanki Skierniewic, nie znanej nikomu w Kramnie, która pewnego dnia ni stąd ni zowąd wsiadła w pociąg i przejechała pół Polski, aby w obcym jej całkowicie mieście odwiedzić sędziego Muracha. Nie znaleziono w papierach sędziego żadnego śladu jakiegokolwiek korespondencji z tą kobietą. Czy to spotkanie miało się więc odbyć z jej inicjatywy? Dlaczego zatem wykazywała owo wahanie, ów strach, zmieszanie, rzucające się w oczy każdemu, kto się z nią tutaj zetknął?

Wyrzucony przez okno rocznik nie pasował ani do Solibora, ani do Burnasa, ani do Anieli Blinowej, ani nawet do Piotra czy Teresy. W każdym razie nie pasował wprost, bezpośrednio.

Pasował natomiast do Matyldy Krychowej. Tak pasował, jak gdyby przez obie te historie przepływał prąd o tej samej mocy, tym samym napięciu. Spróbował połączyć te dwie sprawy: to go kusilo, nieodparcie. Ale to był niewątpliwie ryzykowny ekspe-ryment...

Siedziała przed nim kobieta, jakich w Polsce miliony. Ubrana schludnie, porządnie, ale bez liczenia się z modą. Na pewno wkłada wiele wysiłku w prowadzenie gospodarstwa, żeby mąż po pracy miał zdrowy, smaczny obiad, a dzieci wszystko, czego im potrzeba — oczywiście w miarę rozsądku i w ramach średnich zarobków ojca.

—
Jestem młodszą, najmłodszą siostrą Matyldy Krychowej —

mówi miłym, cichym głosem, w którym drga czułość. Ręce leżą spokojnie skrzyżowane na pę katej, plastikowej torbie, takiej, w której można zmieścić nieduże zakupy — powiedziano mi w Skierniewicach, że w jej sprawie mam tu przyjechać. Więc jestem. Czy coś się stało z moją siostrą, panie kapitanie?

Kozłowiczowi ta kobieta przypomina jego własną matkę, chciałby jej oszczędzić bólu:

—
Pani siostra uległa wypadkowi. Potracił ją samochód ciężarowy. Tu, w Kramnie, na ulicy. No i...
Niestety...

— Rozumiem — mówi Janina Skowrońska głosem jeszcze o ton cichszym i łagodniejszym. Jej palce zaciskają się na zamknięciu torby. W oczach błyszczą łzy, ale hamuje płacz —
rozumiem. Zginęła na miejscu, czy jeszcze cierpiała?

—
Umarła w szpitalu, w godzinę po wypadku. Pomożemy pani załatwić wszystkie formalności. Na pewno będzie chciała pani pochować siostrę w Skierniewicach?

—
Nie — zaprzecza kobieta — Nie. Mamy grób rodzinny na cmentarzu w Katowicach. Moja rodzina jest ze Śląska.

—
Chciałbym wyjaśnić jeszcze z panią pewną sprawę. Czy pani nie wie, po co siostra przyjechała do Kramna?

Ciemne, łagodne oczy są pełne smutku, wie nie przejawiają zdziwienia.

—
Z całej naszej rodziny tylko my dwie zostałyśmy.

Wszyscy pomarli albo poginęli. Przeważnie w wojnę. A Matyldy mąż, co górnikiem był, w

wypadku na kopalni jeszcze przed wojną zginął. Ona wtedy w ciąży była. Rozpaczała aż strach było na nią patrzeć. Zawsze taka porywcza była. No i dziecko jej urodziło się nie całkiem zdrowe. Żeby nie wojna, może by ozdrowiało. Ale że wojna była, nie było warunków do leczenia.

Było mu coraz gorzej. Jasio się nazywał jej synek. Źle chodził, wymowę miał ciężką, siniał często i dusił się, że o mało już parę razy w domu nam nie skonał. Wzięli go Niemcy do szpitala.

—
Do Guterhofu? — pytanie padło z ust Kozłowicza niemal bez udziału jego woli.

—
Tak, do Guterhofu — potwierdziła ciemnooka kobieta, nie dziwiąc się wcale, że kapitan o tym wie. — Tam był szpital dla nieuleczalnie chorych dzieci. Matyllda tam co i raz jeździła, ale Jasiowi nic się nie polepszało ze zdrowiem. Kiedyś pojechała i dowiedziała się, że Jasio nie żyje. Że umarł.

Zrobiła tam wtedy piekło. Lekarzom, pielęgniarkom, komu tylko.

A to wszystko hitlerowcy byli. Krzyczała na cały szpital, że zamordowali jej Jasia. Zabrali ją do obozu. Całą wojnę była w obozie.

—
O ile wiem, w Guterhofie hitlerowcy rzeczywiście uśmiercali nieuleczalnie chore dzieci. Nie tak dawno pisała o tym nasza prasa. Telewizja też nadawała taki reportaż.

—
Przypuszczam, że tak musiało być. Ja tego reportażu nie oglądałam, ale Matyllda go widziała. Biegała potem po mieszkaniu, włosy z głowy rwała, płakała. Krzyczała, że mordercy jej Jasia bezkarnie po świecie chodzą i kary na nich nie ma ani boskiej, ani ludzkiej. Tak się jej, panie kapitanie, od tych wszystkich przeżyć w głowie pomieszało. Po wojnie zabrałam ją do siebie, do Skierniewic. Mój mąż jest kolejarzem, ja dorabiam w takiej jednej spółdzielni, co ubrania robocze szyje. Na pół etatu. Wiele nie mamy, bo dzieci troje, ale mój mąż dobry człowiek. Wiedział, że muszę Matylldzie pomóc. Bardzo nam nie ciążyła, miała swoją rentę inwalidzką. Jak szłam do pracy, domu popilnowała. Ale nie była do życia, pan kapitan rozumie, co mam na myśli. Stale gdzieś gonila, biegała, niby tych ludzi szukała, co jej synka zabili, listy pisała do różnych ludzi, instytucji, żeby szukano morderców. Nic jej poza tym nie obchodziło. Czy to było życie? Siedziała nieraz całymi godzinami przy oknie, mówiła, że na ludzi patrzy, co po ulicach

chodzą, że ci mordercy są gdzieś wśród nich. Czasem zrywała się i biegła za kimś, że niby podobny do kogoś, kto był w Guterhofie. Ale to była zawsze omyłka. Mąż tłumaczył jej, że ci, co dzieci w Guterhofie zabijali, na pewno gdzieś na za-chodzie dobrze się ukryli, ale ona ciągle swoje. Nie dziwię się, że pod samochód wpadła. U nas w Skierniewicach, tam, gdzie mieszkamy, też ruch na jezdni nieduży, a dwa razy o mało się nie zdarzyło to samo. Bo ja wiem, panie kapitanie, może ja się myślę, nie jestem uczona, nie było kiedy ani jak szkoły kończyć, ja tak zwyczajnie tylko powiem: może to dla niej i lepiej, że umarła. Mnie żal, wielki żal. Boć to jedyna siostra. Ale dla niej lepiej. To nie było życie.

—
Ale pani mi jeszcze nie powiedziała, dlaczego pani siostra pojechała do Kramna. Czy trafiła na jakiś ślad właśnie tutaj?

—
Właśnie. Przepraszam, że tak zajmuję czas panu kapitanowi. Ale inaczej pan kapitan by nie zrozumiał, dlaczego Matyllda tak pognęła bez opamiętania do Kramna. Ja bym jej nawet samej nie puściła, mówiłam: wróci Bożena, to moja średnia córka, na obozie harcerskim jest teraz, pojedzie z tobą. Ale ani się obejrzałam, już Matylldy nie było. Ona dostała stąd list, od jakiegoś sędziego.

Nazwiska nie pamiętam.

Wiem tylko, bo czytała ten list na głos, że ten sędzia długo jej szukał. Jej i innych matek, co miały dzieci w Guterhofie, ale ją pierwszą odnalazł. Pisał, że zna kogoś w Kramnie, kto był, jak to nazwał „oprawcą w Guterhofie”. Ale nie zdradza się z tym, bo jeszcze nie ma pewności, a takie oskarżenie rzucić, to straszna rzecz. I boi się, że ten ktoś mógłby się spłoszyć i uciec. Więc prosi, żeby Matylda jak najszybciej przyjechała i rozpoznała tego kogoś. Tę osobę czy te osoby, nie pamiętam już, jak to było w tym liście. I żeby nikomu nic nie mówiła, bo to człowiek bez serca

i litości i mógłby jeszcze mojej siostrze krzywdę zrobić.

Kozłowiczowi przemknęło przez myśl: Zgadza się, wszystko się zgadza. Stąd ten strach, kiedy Krychowa znalazła się w Kramnie. Każdy napotkany przechodzień mógł być • wykrytym przez sędziego zbrodniarzem. Nie wiemy przecież jeszcze nawet, kto to jest: mężczyzna czy kobieta. Jeden człowiek czy dwoje, troje ludzi. Przez chwilę milczał, zamilkła też kobieta, siedząca naprzeciwko niego. Widać było, że chce go jeszcze o coś zastać, ale nie jest pewna, czy przystoi jej to zrobić, czy nie okaże się nazbyt wścibską. Ale to nie jest kobieta, której brak odwagi. Takie jak ona umiały podawać jeńcom prowadzonym ulicą chleb nie lękając się hitlerowskich bagnatów, umiały przechowywać rannych po stodołach i nosić bibułę w koszykach z zakupami, pod pęczkiem pietruszki i marchwi. Spytała wprost:

—
Czy Matylda widziała się z tym sędzią w Kramnie? Czy to nie jest tak, panie kapitanie, że nie na darmo ten sędzia ją ostrzegął?

Kozłowicz nie widział powodu, aby ukrywać przed nią prawdę.

Posunął się nawet nieco dalej: sięgnął do przypuszczeń.

—
Tego samego dnia, pod wieczór, sędzia Murach zmarł, a raczej zginął otruty. Przypuszczam, że pani siostra zastała go już konającego. Czy powiedział jej coś przed śmiercią, o tym nikt z nas się już nie dowie. W każdym razie świadkowie wypadku twierdzą, że pani siostra sprawiała wrażenie osoby, która kogoś poznała na ulicy, kogoś goniła. Może właśnie tego człowieka, którego szukała przez przeszło dwadzieścia lat. Co do okoliczności śmierci pani siostry, też mamy pewne wątpliwości. Jej rany były poważne, ale nie mogły spowodować tak nagłego zgonu. Ten zgon przyspieszyło wstrzyknięcie nadmiernej dawki morfiny. Ubolewa my nad tym. Może zdążyłaby jeszcze przed śmiercią wskazać nam osobę, o której rozpoznanie prosił ją sędzia Murach. Przypuszczam, że ta osoba spostrzegła się, iż grozi jej zdemaskowanie, i zabiła sędziego. Czy pani siostrę także, będziemy się starali wyjaśnić.

Pani Skowrońska wstała, kobieta gospodarna ceni czas, swój własny i cudzy. Uważała jednak za słusne podzielić się na zakończenie rozmowy z tym sympatycznym i wzbudzającym zaufanie człowiekiem swoimi myślami, stanowiącymi z pewnością owoc wielu przeżyć i przemyśleń. Tak to czuła i musiała mu o tym powiedzieć:

—
To straszna rzecz, proszę pana, taka wojna. W dawnych wojnach też ginęli ludzie, ale wtedy tylko, kiedy trwały. A ta ile to ludzi zabijała, zostawiając ich żywymi. Ot tak, jak Matyldę, moją siostrę. I jeszcze wciąż ludzi zabija, jakby jej jeszcze było mało. Ale pan kapitan odnajdzie tego człowieka, co tak ciągle tę wojnę w sobie nosi, prawda? Ja wierzę, że pan tego mordercę odnajdzie.

—
Muszę go odszukać, proszę pani. Tak jak pani powiedziała, on nie umie przestać zabijać. Niestety, tacy jak on, potrafili tak poukrywać się, że niełatwo ich wykryć.

Jeszcze jedno, jeśli pani pozwoli. W rzeczach pani siostry, które oczywiście, wydamy pani, nie znaleźliśmy listu od sędziego Muracha. Czy siostra miała go przy sobie?

—
Tak. Bo tam był adres.

—
Dziękuję pani. Proszę, niech pani poczeka tu, w sekretariacie. Zaraz wrócą z pogrzebu sędziego nasi pracownicy, pomogą pani w załatwieniu wszystkich spraw.

Podawała mu rękę na pożegnanie miękko, nieśmiało.

Prawdopodobnie nie miała wprawy w takich gestach. W kręgu rodziny któż by sobie ręce ścisnął? A ten krąg to było całe jej życie.

ROZDZIAŁ 9

Kozłowicz denerwował się:

—
Trzeba nam było zwyczajnie od razu opieczętować mieszkanie Murachów. To niedopatrzenie. Lubię takie ceregiele.

—
Właśnie — mruknął przekornie Socha — ty byś to pewnie zrobił. Ale niech bym ja spróbował. Pani doktor zrobiłaby rwetes na cały powiat i województwo. Ty jej nie znasz. Ma taaaakie chody. I o co ci właściwie chodzi? Naprawdę myślisz, że ten kawałek gazety jest gdzieś albo był w mieszkaniu Murachów?

—
Kto to może wiedzieć. Może był.

—
Słuchaj — Socha nastroił się bardziej ugodowo — a czy nie prościej byłoby sprowadzić taki sam rocznik z jakiejś biblioteki albo z Berlina?

—
Już telefonowałem w tej sprawie. Obiecali, że się pospieszą. Ale wiesz, jak to jest. A ja się boję.

—
Czego? Kawałka papieru?

—
Jeżeli ktoś go zniszczył, pół biedy. Ale jeżeli ktoś go ukrył, może drogo za to zapłacić. Nawet życiem.

Socha spoważniał. Kozłowicz prawdopodobnie wie, co mówi i co ma na myśli. Miał trochę żalu, że nie ze wszystkim mu się zwierza, ale trudno.

Kozłowicz spostrzegł się:

—
Przepraszam cię, powinienem ci wyjaśnić, o co mi chodzi. Powiedziałem ci wszystko o Krychowej. Teraz dalszy ciąg. Otóż w tej części rocznika, którą skleiliśmy, jest wydrukowany początek reportażu z Guterhofu. A na tej brakującej stronie jest dalszy ciąg historyjki o tym, jak to pięknie hitlerowski personel szpitala dba o chore dzieci. Tam na pewno były nazwiska personelu, może nawet zdjęcia. Tak, na pewno były zdjęcia. To była ta nić, którą trzymał w ręku Murach. Urwała się nam.

Socha usiłował przejawiać optymizm:

—
Może jeszcze znajdziemy tę stronę.

Pytałeś doktor Murachową?

—

Pytałem — zachmurzył się Socha. — Nic z tego.

Kozłowicz miał żywą wyobraźnię. Łatwo mu było zrekonstruować tę scenę. Socha, drobny, szczupły, stoi potulnie na progu przedpokoju, przed nim postawna kobieta w czerni, istna kasztelanka, pani zamku, jak ją sobie ochrzcił na prywatny użytek kapitan. Spoziera wyniośle i z pretensją. „Co?” — dziwi się, unosząc w górę piękne, regularnie zarysowane brwi —

„kawałek gazety? Czy widziałam? Niech pan sobie poszuka wśród tych stosów papierów, jeżeli panu zależy. Ja mam inne zmartwienia. Powinien pan zdawać sobie z tego sprawę”...

Tak musiało być i tak chyba było. Socha skarży się:

—

Powiedziała, że ma co innego na głowie niż kawałek starej gazety.

—

A Blinowa?

—

Posłałem tam sierżanta Grabka. Zaraz go zawołałem, niech powie, co zwojował.

Kozłowicz nie ma pretensji do Sochy, że nie odwiedził osobiście pani Anieli Blinowej. Tych dwoje nie czuje ku sobie sympatii, to widoczne. Sierżant Grabek ociera pot z czoła. Melduje:

—

Nic z tego, obywatelu poruczniku. Pani Blinowa była bardzo zdenerwowana, że rewizję chcemy przeprowadzać. Zaj-rzałem tu i tam, ale ja z góry wiedziałem, że nie ma czego szukać.

—

Dlaczegoż to? — spytał Kozłowicz zaintrygowany.

—

Ja przecież znam tych mikrusów, obywatelu kapitanie. I te ich skarby. Niech to będzie stara kłamka albo łuska po naboju, albo obrazek z ładnym samochodem, żaden tego na wierzchu nie trzyma. Po kątach, po szufladach. A jeżeli matka taka, co porządek lubi, jak Blinowa na przykład, to w ogóle w domu tego nie trzymają. On to ma gdzieś schowane. Jeżeli ma.

—

Właśnie. Skąd mamy tę pewność?

Sierżant uśmiechnął się wyrozumiale:

—

Między dziećmi nic się nie ukryje. Do nas tylko nie dociera, co oni broją. Ale ja mam swoje sposoby. Bo to jak dzieci, czasem się posprzecząją, pokłóca, to coś im się wymknie niechący. Zwłaszcza dziewczynkom. Dziś na ten przykład miałem taki wypadek. Schodzę od Blinowej, a tu mnie siostra Wirkusówną zatrzymuje. Czerwona jak burak ze złości.

Pokazuje mi: przed drzwiami ktoś jej starą szczękę końską na sznurku zawiesił. Mówię, że pewnie dzieciaki. Dla psoty. „A pan, panie Grabek zawsze tych bandytów broni!” — wrzasnęła i drzwiami trzasła, aż tynk na schodach poleciał. No to poszedłem do tych „bandytów” na podwórko. Ani śladu po nich.

Podobnież do lasu poszli w Indian się bawić. Tak mi powiedziała taka jedna Ewka. Ta to lubi skarżyć, niech ją! Zła była na nich, że jej nie zabrali, wystarczyło, żebym zapytał, który to z nich ten prezent Wirkusównie zrobił, od razu mi wyklepała. Że Jurek Blina. Bo Wirkusówną mu podobnież hełm podarła, papierowy, który sobie z kawałka gazety zrobił.

Chciała cały ten hełm, ale tylko strzępek jej w rękę został. Z

resztą Jurek uciekł. Ale się zemścił. No i co, pytam Ewki, co on z tą resztą hełmu zrobił? Ale już ta mała żmijka pokapowała się, że za dużo chce wiedzieć, i umknęła mi. Ja myślę, obywatelu kapitanie, że to właśnie ten kawałek gazety, co go szukamy.

Kozłowicz zerwał się na równe nogi:

—

Sierzancie, idźcie jak najprędzej do tego domu. Jak tylko odszukacie Jurka, nie spuszczać go z oka. Widzę, że macie sposoby na młodzież. Róbcie, co chcecie, ale ten skrawek tygodnika musicie od niego wydobyć. I musicie na niego uważać. Boję się o niego.

Grozi mu niebezpieczeństwo.

Gdy sierżant odszedł, Kozłowicz wyjaśnił swoje obawy:

—

Jurek mógł przyjrzeć się zdjęciom, chociaż nie rozumie chyba po niemiecku. Teraz on z kolei może być jedynym, który wie, kto z mieszkańców Kramna pracował kiedyś w Guterhofie.

Rozumiesz, jakie to ma znaczenie? Może stać się następną ofiarą.

—

Czy wezwać Wirkusównę? Trzeba odebrać od niej ten skrawek, który oderwała od hełmu Jurkowi.

—

Wirkusówna... — powtórzył w zamyśleniu kapitan. — Tak, masz rację, ale najpierw musimy mieć to, co ma Jurek Blina.

Chłopiec, którego imię i nazwisko tak często tego popołudnia padało w gabinecie komendy powiatowej, puszył się i nadymał

jak paw. Ostatecznie, to nie byle co, znaleźć się nagle w centrum zainteresowania dorosłych, a szczególnie milicji.

Wprawdzie matka, po jego powrocie z indiańskiej wyprawy wojennej, sprawiła mu tęgie lanie i za to, że: „milicja w naszym domu! Taki porządny dom! W życiu takiego wstydu nie miałam! Takiej z ciebie pociechy doczekałam się na stare lata!” — i za ową szczękę końską przed drzwiami siostry Urszuli, z którą wygodnie jest utrzymywać dobre stosunki, bo zawsze za parę złotych jakieś dobre lekarstwa szpitalne można od niej wyciągnąć. Ale za to wszyscy chłopcy z całej ulicy są świadkami, że ważna musi z niego być osoba, skoro sierżant Grabek łązi za nim przez całe popołudnie krok w krok. Łazi, a od czasu do czasu przyzywa go kiwnięciem dłoni i zaczyna się wtedy trućie.

—

Gdzie schowałeś tę resztkę papierowego hełmu?

—

Pan sierżant chce z nami w wojsko bawić się? Jak tak, to mogę zrobić drugi

hełm. Jeszcze ładniejszy. — Jurek nie boi się ani sierżanta Grabka, ani nauczycieli w szkole. Nie boi się, jak to mówią, diabła ani pogana, ani księdza, ani nawet dentystki. Jurek boi się tylko mamy. O tym nie musi Grabek wiedzieć, więc można z nim podroczyć się.

—

Głupiś, bracie — odzywa się dobrodusznie sierżant — do prawdziwego wojska pójdziesz, sam zobaczysz, jak to jest. Że to żadna zabawa. Na tej gazecie coś takiego jest napisane, co mi potrzebne.

—

E tam — Jurek wydyma lekceważąco policzki. Z poczuciem wyższości kogoś, kto wie lepiej, tłumaczy sierżantowi. — Bo to prawda! Tam mało co napisane. Same obrazki...

I tu spostrzega, że popełnił błąd. Zdradził się z faktem posiadania tego skrawka gazety. Ale trudno,

słowo się rzekło.

Sierżant cieszy się jak dziecko:

—

No widzisz, właśnie o te obrazki mi chodzi.

—

Mnie też.

—

Takie ciekawe? — nalega sierżant ostrożnie.

Jurek okazuje szczery entuzjazm:

—.....Po jednej stronie jakieś gęby, nieważne. Ale po drugiej, to by panu sierżantowi oczy wyszły.

Walka samolotów. Jeden atakuje, drugi pikuje i prrrrrrr Szereg dźwięków, imitujących serię z karabinu maszynowego rozdarł ciszę podwórka, na którym odbywały się pertraktacje.

—

Właśnie takiego zdjęcia brak mi do mojego zbioru —
upiera się łagodnie sierżant.

—

Zbiera pan sierżant obrazki? Nie wiedziałem — Jurek konferuje jak równy z równym. Zbieracze to klan. Wiek nie odgrywa wśród nich roli.

—

Tak — ożywia się sierżant — wojenne. Mam walkę czołsów, walkę łodzi podwodnej z samolotem, no i takie różne inne... — fantazja już mu dalej nie dopisuje. Co z czym jeszcze może walczyć?

Kuchnia polowa z ambulansem sanitarnym?

Nagle mały kontrahent zmienia ton. Mówi pogardliwie:

—

E tam. Ja już właściwie nie zbieram obrazków. Przerzucam się.

—

Na co? — Sierżantowi robi się już słabo.

—

Na znaczki lotnicze i medale wojskowe.

—

Wiesz co? Dam ci za ten hełm serię ze sputnikami.

— E tam. Mam na pęczki.

— No to co chcesz?

Jurek podrzuca czubkiem buta drobne kamyki. Celuje nimi w gromadkę wróbli, skaczących po trawniku. Ale nie trafia. Może nie chce trafić? Przecież chodzi

o to, żeby strzelać, a nie żeby trafiać. Namyśla się, znów ma minę ważniaka:

— Sam nie wiem...

Sierżant postanawia zrobić ofiarę z własnych zbiorów:

—

Dam ci przedwojenny start balonu z Doliny Chochołowskiej.

To już coś — myśli Jurek, ale nie kapituluje tak łatwo:

—

Pan sierżant uważa, że ja taki zielony? O, nie. Za ten szpargał już mi niejedno obiecywano.

Sierżant dziwi się naiwnie, starając się opanować podniecenie:

— A co takiego?

Jurek wylicza, zaginając niezbyt czyste ipokiereszowane palce:

—

Pani doktor Murachowa furę „kryminałów”, to raz. Pan doktor Lebioda nową wędkę. To dwa. Siostra Wirkusówna scyzoryk, co ma dużo ostrzy, taki myśliwski. To trzy. A mama konfitury na deser przez cały miesiąc, a jak nie oddam jej, to mnie spierze.

A pan sierżant tylko znaczek... Niech nawet z balonem.

Sierżant deklaruje desperacko:

—

Dostaniesz to wszystko ode mnie. Bez lania. Wszystko, co tobie tamci obiecali...

Jurek dochodzi do wniosku, że ta transakcja w końcu zaczyna mu się opłacać. Wędkę wymieni z Grześkiem na łuski, za te łuski dostanie od Władka trzy medale. „Kryminały” po przeczytaniu będzie wypożyczać koleśiom za znaczki. Scyzoryk i lot balonem zachowa, oczywiście, dla siebie.

—

Dobra już, dobra — mówi protekcyjnie. — A kiedy to wszystko będzie?

—

Jeszcze dziś wieczorem — przyrzeka sierżant. — Wiesz, że ja dotrzymuję wam zawsze słowa.

Jurek wie, że sierżantowi można wierzyć. Ma na ogół dobrą opinię wśród młodego pokolenia. Nawet jego własne dzieci go chwala.

—

Zaraz przyniosę...

—

Pójdę z tobą — ofiarowuje się skwapliwie sierżant.

—

Ani mowy — Jurek jest twardy. — Gdzie ja to mam, moja sprawa. Nikomu nic do tego.

Sierżant przeżywa rozterkę. Jurek gotów wycofać się. Do tego nie wolno dopuścić. Z drugiej strony sierżant zobowiązał się wobec kapitana, że nie odstąpi Jurka ani na krok. Ale, ostatecznie, cóż mu się może stać dosłownie w zasięgu wzroku sierżanta, pod bokiem matki, we własnym domu?

—

No dobrze — zgadza się niechętnie — ale ja będę tu niedaleko. Gdybyś mnie potrzebował, krzyknij.

Jurek się dziwi: dlaczego może potrzebować sierżanta przy opróżnianiu swojej skrytki? Ale wyraża zgodę i nie protestuje, kiedy sierżant wkracza za nim na klatkę schodową.

Uzgadnia się, że sierżant zostanie przed strychem na schodach, a Jurek uda się sam na strych. To urządza sierżanta.

Opiera się o balustradę i zapala papierosa, żeby się odprężyć.

Słyszy najpierw, jak Jurek chodzi po strychu. Potem taki dźwięk, jak gdyby otwierał okno, szafę albo drzwi. Potem lekki stukot i cisza. Długa chwila ciszy. Za długa chwila i zbyt wielka cisza, żeby sierżant czuł się nadal związany słowem, danym Jurkowi. Odrzuca nie dopalonego papierosa, przydeptuje go obcasem i wkracza na strych. Jak to na strychu

— latem — duszno, gorąco. Mnóstwo gratów. Sznury od bielizny.

Półmrok, który rozpraszają małe okienka. Ale Jurka nigdzie nie ma. Sierżant szuka chłopca gorączkowo po wszystkich kątach i zakamarkach, nigdzie go nie widać, ale trzynastoletni

- chłopak nieszpilka, w mysia dziurę się nie schował. W tej chwili sierżant ma ochotę głośno

zakląć, kierując obraźliwe słowa pod własnym adresem. Powinien był to przewidzieć: żaden z chłopaków nie zaprowadzi nikogo dorosłego wprost do swojej kryjówki. Raczej wyprowadzi go w pole, tak właśnie, jak to zrobił w tym wypadku Jurek. Przeciąg porusza uchylonymi drzwiczkami otworu, wiodącego na dach. Z dachu opuszczona drabina wskazuje drogę, którą przed kilkoma minutami odbył mały spryciarz. Drabina oparta jest o daszek drewnianego baraczkę, służącego mieszkańcom domu. Za skład rupieci, narzędzi ogrodowych, drewna na opał. Oczywiście, sierżant powinien się był domyśleć, że Jurek ukrywa swoje skarby poza domem, stanowiącym orbitę, po której krąży jego matka. Do składziku po drewno na opał posyła się zawsze któreś z dzieci. Poza nimi, któż tam chodzi. Sierżant nie cofa się już w głąb domu. Ryzykuje, że drabina i daszek nie wytrzymają jego ciężaru i obiera tę drogę, niebezpieczniejszą, lecz krótszą. Ląduje jednak pomyślnie, chwając sobie w duchu nawyk odbywania codziennych porannych ćwiczeń gimnastycznych dla przykładu młodemu pokoleniu Grabków.

Drzwi od komórki jeszcze chwieją się na zawiasach.

—
Jurek! — woła niespokojnie sierżant.

Ale i tu nikt mu nie odpowiada. Oczy, porażone jaskrawym blaskiem zachodzącego słońca, z wolna oswajają się z panującą w składziku ciemnością. Dopiero więc po chwili sierżant dostrzega ciało chłopca, bezwładnie rozciągnięte na stercie porąbanych drewniek.

ROZDZIAŁ 10

Sala operacyjna powiatowego szpitala zalana jest jaskrawym światłem bezcieniowych lamp. Koncentruje się ono na drobnym kształcie, nie zajmującym nawet połowy powierzchni operacyjnego stołu. Mogłoby się komuś zdawać, iż to nie błyszczące szkłem i niklem okrągło-wklęsłe tarcze są źródłem oślepiającej jasności, ale właśnie ten nieduży, nieruchomy kształt owinięty w prześcieradła, dookoła którego co raz nachylają się wysmukłe postacie w bieli, jak gdyby odprawiało się tu dziwne nabożeństwo. Ruchy tych postaci są precyzyjne, skoordynowane, szybkie. Ciszę przerywają raz po raz oderwane słowa, którymi porozumiewają się między sobą. Od czasu do czasu zadźwięczy szkło stolika z narzędziami, brzęknie metalicznie potrącony instrument.

Na wyraźne życzenie kapitana Kozłowicza ordynator szpitala, doktor Gawroński, osobiście zajmuje się Jurkiem Bliną. Na szczęście, sprawa nie jest tak groźna, jak mogłoby się z początku wydawać. Jurek jest w stanie szoku, nieprzytomny, ale rany powinny zagoić się pomyślnie.

Cios zadano mu tępym końcem siekiery. Niedużej siekiery, leżącej zawsze tuż przy wejściu do komórki Blinów i służącej Jurkowi do łupania polan na drobniejsze drzazgi na podpałkę.

Może

napastnik chciał tylko ogłuszyć Jurka, może nie chciał go zabić — zresztą, kto to wie. Jurka uratowało to, że potknął

się w chwili, kiedy spadał na niego cios, zadany od tyłu.

Potknął się, czy pośliznął na drewnkach, rozsypanych na podłodze drewnutni. Może dosłyszał kroki za sobą, chciał się odwrócić i wtedy upadł. Upadek ten sprawił, że siekiera drasnęła go tylko w głowę, cała siła jej uderzenia dosięgła ramienia chłopca i zgmiotła mu obojczyk. Teraz trzeba wyjąć kilka drobnych odłamków kości, doprowadzić wszystko do porządku, założyć gipsowy pancerz.

Wszystko to dzieje się na sali operacyjnej, do której oczywiście nikt poza personelem nie ma dostępu, ale ani kapitan Kozłowicz, ani porucznik Socha nie opuszczają szpitala.

Czują się w jakiejś mierze odpowiedzialni za to, co się stało.

Socha od czasu do czasu zaciska zęby, żeby nie zakląć soczycie i powtarza:

—

Bo ja bym z nimi inaczej, z tymi małymi łobuzami.

Dałbym raz po tyłku i zaraz by się ta zatracona stronica znalazła. A potem na pocieszenie tabliczkę czekolady. Nie trzeba było wdawać się z nimi w rozmowy. Też mi dyplomacja ze smarkaczami.

Kozłowicz zgadza się jednak z sierżantem Grabkiem: taki mały cwaniak, zmuszany siłą, raczej podrze i zniszczy przedmiot sporu niż go odda.

Sierżant Grabek jest załamany. Uważa, że to wszystko jego wina. Dał się nabrać Jurkowi i stąd całe nieszczęście.

W izbie przyjęć sądny dzień. Matka Jurka Bliny lamentuje głośno, na cały szpital, odgraża się nieznanemu napastnikowi, dziwiąc się, że go jeszcze święta ziemia nosi, nie rezygnuje z lania, jakie sprawi swojemu urwisowi, gdy tylko dojdzie on do zdrowia, ma za złe nieudolność i safandulstwo milicji miejscowej i wojewódzkiej. Siostra Urszula, która właśnie zjawiała się na nocny dyżur, uspokaja ją, troskliwie poi nasercowymi kroplami.

Oparci o okienną ramę tkwią obok siebie w bezruchu i milczeniu doktor Teresa Murachowa i doktor Piotr Lebioda.

Doktor Murachowa również dopiero co tu przybyła, ale już zdążyła przywdziać swój biały lekarski fartuch. Czuje się głęboko dotknięta faktem, że kapitan Kozłowicz nie tylko nie dopuścił jej na salę operacyjną, ale oznajmił także, iż dyżur swój będzie mogła podjąć dopiero po rozmowie z nim. Czeką teraz na tę rozmowę. Spogląda co chwilę na zegarek, dając bez słów do zrozumienia, że ucieka cenny czas, należący nie do niej, ale do pacjentów.

Doktor Piotr Lebioda jest tu gościem, nie należy bowiem do szpitalnego personelu. Ale to on udzielił pierwszej pomocy rannemu chłopcu, którego na rękach wyniósł sierżant Grabek z drewni. Sierżant natknął się na Piotra niemal w bramie domu Murachów. Doktor Lebioda tłumaczy się, że szedł do doktor Murachowej, którą miał zamiar odprowadzić do szpitala na dyżur i chciał po drodze zamienić z nią kilka słów.

Doktor Lebioda zmizerniał przez kilka ostatnich dni —

stwierdza Kozłowicz. Jego oczy rzucają niespokojne spojrzenia, w grymasie twarzy wyczuwa się czujne napięcie, ręce, trzymające papierosa, drżą.

Na biurku dyżurnego lekarza leży przedmiot, brutalnie naruszający schludność i antyseptykę szpitalnego wnętrza: siekiera. Właściwie nie wiadomo dlaczego sierżant Grabek przytaszczył ją tu ze sobą. Może uważał, że przy opatrywaniu rannego dobrze jest zobaczyć, jakim i jakiego formatu narzędziem spowodowane zostało okaleczenie. Kozłowicz nie pozwala jej teraz ruszać. Przyjdzie zaraz ktoś z jego ekipy, sprawdzi odciski palców. Wątpliwe, żeby akurat niedoszły morderca chłopca pozostawił na niej swoje ślady. Na pewno ujął

trzonek przez rękę

wiczkę albo jakiś gałgan. Głupcem chyba nie jest. Ale sprawdzić zawsze trzeba. Tak przepisy każą.

Na razie ekipa Kozłowicza jest bardzo zajęta. Kilku ludzi przeszukuje cal po calu, piędź po piędzi fatalny baraczek. Nie wiadomo bowiem, czy Jurek zdążył dotrzeć do skrytki, zanim dosięgnął go cios. Czy miał w ręku swój skarb w chwili upadku?

A jeżeli nie — to czy ręką napastnika, po odrzuceniu siekiery, wypróżniła skrytkę, czy też nie zdołała tego zrobić, bo już sierżant Grabek znajdował się na drabinie? Mógł ów ktoś nie zdążyć. Nie osiągnął swego celu.

Kozłowicz nie może się nadziwić:

—

W jaki sposób napastnik mógł wam umknąć? — pyta Grabka. — Jak to się stało, że nikogo nie

dostrzeżliście?

Sierżant Grabek ma na swoje usprawiedliwienie fakty:

—

Stałem przed drzwiami strychu dwie, trzy minuty. Potem ze dwie minuty zeszyły mi na szukaniu Jurka po całym strychu.

Jeszcze dwie na zejście po drabinie. Jeżeli ten ktoś śledził

Jurka, widział, jak z nim rozmawiam, domyślił się, o co chodzi, jeżeli wiedział, że Blina ma swoją skrytkę w drewnutni, to zaczął się tam, gdzie trzeba. Jurkowi więcej niż dwóch minut nie trzeba było, żeby przebiec przez strych i zleźć po drabinie do drwalki. Miał czas ten ktoś nie tylko, żeby napaść na chłopaka, ale i, żeby poszukać, czego chciał.

—

Ale jak uciekł z drwalki?

—

Uciekł wtedy, kiedy ja schodziłem po drabinie. Drwalka ma bardzo szeroki okap dachu, chyba pod nim kiedyś długie polana drewna trzymano, takie, co się w drwalce nie mieściły.

Mógł ten ktoś przemknąć się pod okapem aż do samych drzwi sieni i ja go nie zobaczyłem. Albo schował się w drugiej czy trzeciej przegródce drwalki. Wiedział, że nie będę szukać go wpierw, zanim chłopaka nie poratuję. Wymknął się, kiedy ja wynosi

łem Jurka. Czy obywatel kapitan pozwoli mi teraz pójść tam? Ja prędzej niż kto obcy znajdę, gdzie ten huncwot swoje skarby chowa. Żeby nawet musiał tę budę po jednej desce aż do polepy rozebrać, to znajdę.

Kozłowicz skinął przyzwalająco głową. I tak nic tu teraz po sierżancie Grabku:

—

Ale jak coś znajdziecie, migiem do mnie. Będę tutaj —

nachmurzył się i dodał niechętnie — długo tu będę.

Dlaczego mu się tak powiedziało — sam nie wiedział.

Ogarniało go jednak nieodparte uczucie pływaka, który dociera do brzegu. Jeszcze dwa, trzy wyrzuty ramion, jeszcze trochę wysiłku woli i cel drogi zostanie osiągnięty. Dziwne, że tak o tym myśli: droga. Nigdzie przecież nie ruszał się z Kramna podczas tych trzech dni śledztwa, ale jednak ma za sobą długotrwałe i dalekie podróże. Jeszcze raz odbył w swoich myślach, wspomnieniach, w rozmowie z Piotrem ich wspólną partyzancką wędrówkę. Zadawał sobie podczas tej wyprawy wiele-kroć razy pytanie: czy to możliwe, żeby Piotr? Czy mogą się ludzie aż tak zmieniać, pozostając pozornie tacy sami jak dawniej? Z różnych doświadczeń życiowych wiedział, że to możliwe. Towarzyszył także Kozłowicz doktor Teresie Murachowej w jej życiowej drodze, na której Kramno stało się nie wiadomo właściwie czym: azylem, cichą, szczęśliwą przystanią czy więzieniem. Prowadzony za rękę przez kobietę, która z miłości, pogodnej równowagi ducha i pokory wobec losu uczyniła życiową mądrość, próbował dogonić ją w szaleńczym, niecierpliwym biegu aż po kres życia w jasnych ścianach kramneńskiego szpitala. Biegł tropem tej kobiety, której sens życia miał

barwy nienawiści i zemsty — przez posępny park szpitalny Guterhofu, przez długie, ciemne korytarze gmachu z ciemnoczerwonej cegły, przez błoto oświęcimskiego placu apelowego, przez wszystkie

miasta i wsie, penetrowane uparcie i niezmordowanie w poszukiwaniu morderców jej dziecka, wreszcie przez ciche, słoneczne uliczki Kramna. Biegł zadyszany, bez tchu i chciał

wołać do niej: „Stań! Zatrzymaj się, Matyldo. Nienawiść cię zaślepiła i czyni samotną. Sprawiedliwość musi mieć oczy otwarte i przytomne, sprawiedliwość to zbiorowy akt ludzkiej

solidar- naści. Pomoglibyśmy ci. Patrz: przegrywasz, chociaż jesteś już prawie u celu!” Ale Matyldy Krychowej nic już nie mogło ocalić. Mógł zrobić dla niej już tylko jedno: mógł ujawnić zbrodniarza, który na długie lata zasłonił twarz maską dobroczyńcy. Patrzył na ludzi, którzy go otaczali. Trzymał ich na uwięzi swojego wzroku. Niemal osobiście odczuwał ich strach, ich lęk przed tym, co może się za chwilę zdarzyć. Pierwszy zrobił krok w jego stronę doktor Piotr Lebioda.

—
Muszę ci coś powiedzieć — głos Piotra brzmiał głucho.

Fałdy twarzy nagle obwisły. W mgnieniu oka przemienił się w starego, bardzo zmęczonego człowieka, uginającego się pod brzemieniem rezygnacji. Cicho dodał — na osobności.

—
Proszę cię — Kozłowicz otworzył drzwi izby przyjęć, wyszli na korytarz. Było tu pusto. Pod rozłożystym filoden-dronem w końcu korytarza dwa foteliki kryte plastykiem, metalowa popielniczka na trójnogu. Usiedli. Piotr nerwowo zdusił niedopałek papierosa, o mało nie przewrócił popielniczki.

—
Nie wiem zresztą, czy to ważne — Piotr zająknął się, przegarnął dłonią włosy — może powinienem był ci powiedzieć od razu... Ale wyleciało mi to z głowy.

— Mów — odezwał się sucho Kozłowicz i pomyślał: Histeryk. Uczyć by mu się od tej Skowrońskiej ze Skierniewic. Przybrał ton służbowy, oficjalny, niech Piotr nie myśli, że ktokolwiek będzie się nad nim roztkliwiać — czy coś jest ważne czy nie, powinieneś był pozostawić to mojej decyzji.

Piotr westchnął i Kozłowicz zadał sobie pytanie, czy to nie obłuda.

—
Wiesz, to musiał być ogromny, nadludzki wysiłek ze strony Edwarda, mówię o Murachu. Kiedy się umiera, kiedy następuje porażenie atropiną... wiesz, jak jest wtedy z ośrodkiem mowy. Ale on jeszcze potrafił powiedzieć dwa słowa, kiedy mnie rozpoznał.

—
Jakie to były słowa?

—
Jedno, to było „Guterhof”. A drugie „pamiętaj” albo „pamiętasz”. Trudno było zrozumieć. Ale „Guterhof” powiedział wyraźnie.

—
Czy to było powiedziane tylko do ciebie? Czy pani Teresa to słyszała?

—
Tylko do mnie. Teresa poszła wtedy parzyć kawę.

—
Ty wiesz, oczywiście, co to było Guterhof?

Piotr bez słowa skinął potakująco głową.

—
Dlaczego mi to mówisz teraz? — Zdenerwował się nagle Kozłowicz. — Czy chcesz odzykać moje zaufanie? Wymigać się?

Czy dlatego, że o mały włos nie zginął ten chłopak?

Piotr wzruszył ramionami. Wypadło to żałośnie. Nie wiadomo, czemu zaprzeczał, co potwierdzał.

—
Czy nigdy nie będziesz żałować? — Złość przeszła Kozłowiczowi tak sarno szybko, jak go" opanowała. Ogarnęła go litość, zwykła, ludzka litość. — Mówisz, że nie rozumiałeś o co chodzi. Ale teraz przecież już rozumiesz.

W głosie Piotra zabrzmiały niespodziewanie twarde, ostre nuty:

—
Rozumiem. Wiem. Czy będę żałować? Śmieszny jesteś.

Pewnie, że tak. Ale nic na to nie poradzę.

W tym momencie przeciąg trzasnął gdzieś drzwiami. W

odpowiedzi stuknęły ramy na pół uchylonego okna. Późny wieczór niósł w sobie burzę. Wielkie, brudne płachty chmur przelatywały szybko przez niebo i ścierały z niego gwiazdy, jak pojedyncze literki na czarnej szkolnej tablicy.

W drugim końcu korytarza pojawił się sierżant Grabek.

Kroczył szybko, triumfującą miną dawał do zrozumienia kapitanowi, że misja jego została uwieńczona powodzeniem.

Piotr wstał i odszedł wolnym, ciężkim krokiem, jakim chodzą ludzie bardzo zmęczeni, kiedy brną gdziekolwiek bez celu.

Korytarzem przetoczono wózek. Twarz Jurka była wciąż jeszcze blada, ale powieki drgały już leciutko. Niedługo pewnie odzyska przytomność — powiedział doktor Gawroński. — Wszystko poszło dobrze, za miesiąc chłopak będzie mógł po drzewach łązić i rozrabiać. Tylko wakacje ma zmarnowane, fakt.

Kozłowicz zbliżył się do okiennego parapetu, rozprostował dłońmi zmiętą kulę z papieru, zadrukowanego drobną czcionką.

Co prawda nie całą płaszczyznę zajmował tekst. Po jednej stronie spore zdjęcie przedstawiało walkę powietrzną dwóch samolotów. „Wróg” — a był nim lotnik w samolocie oznaczonym angielskimi znakami — miał twarz wykrzywioną strachem i rozpaczą. To jego maszyna ma za chwilę opaść w dół i zamienić się w płonący stos żelastwa. Hitlerowski lotnik ma na twarzy wypisane zwycięstwo. Jest piękny i dumny. Dla Wodza dla Oj-czyzny — głosi napis biegnący skosem przez zdjęcie. Kozłowicz widzi teraz, że to bynajmniej nie autentyczne zdjęcie, to rysunek, wykonany naturalistycznie i nie bez rozmachu. Typowa hitlerowska propaganda, sławiąca męstwo germańskich wojaków.

No, a druga strona? Też wysławia ludzi, którzy nie szcędzą sił, ofiarnie i z zapalem pełnią swoje obowiązki. Niestety, jedna trzecia stronicy jest oddarta. A więc tu, na przykład, mamy czyjeś zdjęcie i to zdjęcie żywo nam kogoś przypominają. Na tym drugim, grupowym, też znajoma osoba, może nawet nie jedna... Może ktoś jeszcze... Ale to nie takie pewne.

Natomiast pod zdjęciami brak podpisu. Pozostał on właśnie na tym brakującym skrawku stronicy.

Kozłowicz chowa zdjęcie do teczki. Wchodzi do izby przyjęć, komunikuje Anieli Blinowej pocieszające wieści i poleca, by sierżant Grabek odwiózł zdesperowaną kobietę do domu. Nic tu po niej.

Doktor Teresa Murachowa ruszyła się tymczasem spod okna.

Znudziło się jej widocznie tak tkwić bez ruchu w jednej, posagowej pozycji. Zajął się parzeniem kawy. Siostra Urszula wyciągnęła z szafki szklanki, przeciera je, ustawia na biurku, liczy, czy ich wystarczy. Panowie pozwolą? Po takim ciężkim dniu panowie z pewnością chętnie napiją się z nami kawy.

— Ja dziękuję — kaprysi Socha — ja o tej porze pijam już tylko herbatę.

—
Znajdzie się i herbata — zgadza się potulnie siostra Urszula.

—
A ja chętnie, proszę bardzo — stwierdza Kozłowicz i z lodowatą uprzejmością zwraca się do doktor Murachowej — ale mam nadzieję, że to jest normalna kawa, nie taka bezkofeinowa.

— Skąd taki pomysł, panie kapitanie? — odpowiada swobodnie doktor Murachowa — cóż by mi dała podczas dyżuru bezkofeinowa kawa.

—
Zdaje się, że pani mąż ją pijał chętnie...

Teresa nagle przystaje, jej twarz wyraża zaskoczenie. Mówi prawie szeptem, jakby sama do siebie:

—
O mój Boże! I ja mu wtedy właśnie tę kawę zaparzyłam.

Tak się pomylić, tak się pomylić... Powinnam była pamiętać.

—
To była kawa bezkofeinowa? — zdumiewa się z kolei Piotr — rozumiem teraz, dlaczego nie pomogła.

—
Tak — mówi Kozłowicz, powoli ce

dząc słowa — na zatruciu atropiną jedyną odtrutką jest kofeina. Czy to nie dziwne, że akurat właśnie wtedy w domu państwa Murachów, gdzie pija się dużo kawy, nie było jej ani odrobiny?

Siostra Urszula nalewa dla Sochy herbatę, trzy szklanki napełnia kawą, podsuwa je Lebiodzie, Murachowej i Kozłowiczowi. Dla niej już zabrakło naczynia. Kręci się zaambarasowana, chce wyjść z pokoju, wysunąć się niepostrzeżenie, czuje się tu niepotrzebnym świadkiem jakiejś dziwnej dyskusji.

Nie dopuszczają do tego dwie osoby. Kozłowicz prosi stanowczo, by pozostała — Teresa, z życzliwym uśmiechem nalega, by napiła się kawy z jej filiżanki, schowanej w biurku.

—
Ależ dyżur... — oponuje nieśmiało pielęgniarka.

—
Uzgodniłem z doktorem Gawrońskim, że zatrzymam tu obie panie przez jakiś czas — tłumaczy cierpliwie Kozłowicz —

musimy sobie w tym gronie pewne rzeczy wyjaśnić.

Murachowa rozsiada się wygodnie, jak do pogawędki towarzyskiej. Siostra Urszula przykuca na brzeżku krzesła, niby ptak na gałęzi, gotów w każdej chwili do odlotu. Piotr ma twarz jak z kamienia, pali jednego papierosa po drugim.

—
Niestety, muszę zacząć od rekonstrukcji pewnych faktów. — Kozłowicz stara się mówić spokojnie i beznamiętnie, ale nie bardzo mu się to udaje, ta historia obeszła go bardziej niż wiele innych spraw, które ostatnio prowadził — a więc sędzia Murach miał pasję wykrywania zbrodniarzy wojennych...

Teresa ma minę znudzoną, jak gdyby miała zamiar powiedzieć: wiemy, wiemy. Kto o tym nie słyszał? Może Urszula nie słyszała, bo jej nieładna twarz wyraża duże zaniepokojenie.

—
Nie tak dawno sędzia nabył okazji w antykwariacie kilka roczników Berliner Illustrierte Zeitung. I oto w jednym z numerów z 1941 roku natrafił na reportaż ze szpitala dziecięcego Guterhof

pod Katowicami. Oczywiście, w tym reportażu nie było mowy o mordowaniu chorych dzieci, tylko o tym, jak nauka wielkich Niemiec walczy z kalectwem.

I były zdjęcia personelu szpitalnego. Na jednym ze zdjęć sędzia rozpoznał kogoś ze swego obecnego najbliższego otoczenia. Może jedną osobę, może dwie. Twarze nieco zmienione, starsze obecnie, ale na pewno te same...

—
Ale skąd pewność, że osoby pokazane na tym hitlerowskim zdjęciu uczestniczyły w mordowaniu tych biednych dzieci? — w głosie Piotra, gdy zadaje to pytanie, drży wyzywająca nutka, która nie podoba się Kozłowiczowi.

—
Gdyby istotnie tak było, jak przypuszczasz, gdyby te osoby były niewinne, nie miałyby powodu do paniki. To się zresztą da udowodnić. Jedna z osób podejrzanych zauważyła ten rocznik, wyczuła, że stosunek sędziego do niej się zmienia. Ta osoba musiała dobrze pamiętać ów rocznik hitlerowskiego pisma.

Pamięta do dziś, że figurowała tam kiedyś na zdjęciu, gdy otrzymywała wysokie odznaczenie hitlerowskie i stanowiło to dla niej duży zaszczyt. Zniszczenie rocznika nic by jej nie dało. Sędzia był uparty, postarałby się o drugi egzemplarz, skoro już powziął jakieś podejrzenie. To podejrzenie sędzia postanowił zresztą jeszcze sprawdzić, bo był człowiekiem niesłychanie sumiennym. Szuka matek pomordowanych dzieci.

Pierwszą, którą udaje mu się odnaleźć, jest Matylda Krychowa. Wzywa ją listownie, by przyjechała do Kramna i zidentyfikowała mordercę czy też morderców. Nie mamy, niestety, tego listu. Sędzia przezornie nie pozostawił nigdzie kopii, a oryginał miała Krychowa przy sobie. Morderca wykradł go z torebki rannej kobiety i zniszczył.

—
Mówisz raz o mordercy, a raz o mordercach. Nie rozumiem — przerywa Piotr.

—
Bo nie wykluczam, że to dwie osoby. Może tylko o niejednakowym stopniu winy.

Doktor Murachowa nadal wykazuje zniechęcenie do wywodów kapitana Kozłowicza. Wstaje, dolewa wszystkim kawy.

—
Siostrzo Wirkusówną — zwraca się Kozłowicz nagle do Urszuli, która aż podskakuje na swoim brzeżku krzesła — proszę mi natychmiast oddać ten kawałek stronicy z Berliner Illustrierte, który oderwała pani z hełmu Jurka Bliny. Nie wątpię, że taki skarb nosi pani przy sobie. Jeżeli będzie się pani opierała, wezwiemy tu zaraz milicjantkę i dokonamy rewizji osobistej. Dobrze radzę w pani własnym interesie.

Twarz Urszuli wyraża kolejno bezgraniczne zdumienie, złość, chęć oporu. Nie mówi nic, wreszcie, zrezygnowana, sięga pod fartuch do kieszeni spódnicy i wydobywa stamtąd zwinięty w rulonik skrawek gazety. Kapitan wyjmuje go jej z ręki, otwiera kopertę, wydobytą z teczki

i dopasowuje oba fragmenty przedartej strony. Pasują. Ale chwilowo kapitan nie komentuje treści, która się ujawniła po tym zabiegu. Rzuca ostro:

—
Siostrzo, pani pracowała w Guterhofie.

Urszula poddaje się, ale nie rezygnuje całkowicie z obrony:

—
Tak... Ale ja tego nie robiłam... z tymi dziećmi.

Kozłowicz nie ma zamiaru jej oszczędzać:

—

To wykaże śledztwo. Jeżeli pani nawet sama nie zabijała, wiedziała pani i widziała, co inni robią. Po wojnie los zetknął panią z kimś, kto w Guterhofie odgrywał ważniejszą rolę, kto „uwalniał

społeczeństwo od zbędnego ciężaru”, jak brzmiał tajny rozkaz władz hitlerowskich dla szpitala w Guterhofie. A może w ogóle nie rozstawaliście się... Pani przyłgnęła do tej osoby, postanowiła zrobić sobie z niej stałe źródło dochodu.

Pieniądze za

milczenie. Bo jak są pieniądze, to i adorator się znajdzie, taki Fryda na przykład. Osoba, szantażowana przez panią, nie mogła ruszyć się z Kramna.

Socha, który przez cały czas tkwi posłusznie, tak jak mu Kozłowicz przykazał, tuż przy drzwiach i przez cały czas słucha wywodów Kozłowicza z zapartym tchem, sądzi, że nagle doznał olśnienia. Któż to bowiem nie opuszczał Kramna. chociaż gdzie indziej mógłby zrobić karierę? Doktor Piotr Lebioda. Ale nie ma czasu, by dalej snuć swoje domniemania, bo Kozłowicz przyspiesza tempo oskarżenia:

—

Wiedziała pani o planowanym zabójstwie sędziego. Może nawet uczestniczyła w nim pani. Tak samo było z Krychową.

Urszula woła histerycznie, zasłaniając twarz rękoma:

—

Nie! Nie! Nie!

—

Pani też wiedziała, że sędzia zainteresował się reportażem z Guterhofu. Bywała pani codziennie w mieszkaniu państwa Murachów, mogła to pani nie raz podpatrzeć. Przypadek sprawił, że kobieta, którą wezwał do siebie sędzia Murach, przyjechała właśnie w dniu jego śmierci, zastała go konającego i wybiegła być może, by szukać dla niego ratunku. Na ulicy dostrzegła kogoś, kto wydał się jej znajomy. To był właśnie ktoś, kogo ściagała od przeszło dwudziestu lat. Straciła głowę, zaczęła biec i skończyło się to katastrofą. Pani była na miejscu wypadku. W rannej rozpoznała pani Krychową, musiała ją pani dobrze znać w Guterhofie, gdy przychodziła dokarmiać swego synka. Skojarzyła pani fakty, domyśliła się, po co Krychowa przyjechała do Kramna. Kiedy leżała na stole opatrunkowym, postanowiła pani działać. Ranna mogła jeszcze coś zeznać, wtedy urwałyby się pani dochody z szantażu. No i pani sama mogła paść ofiarą jej zeznań. Więc wstrzyknęła pani Matyldzie

Krychowej śmiertelną dawkę morfiny.

Urszula zerwała się z miejsca, z otwartymi szeroko oczyma i ustami słucha tego, co mówi Kozłowicz. Czuje się jak zwierzę w potrzasku, pragnie wyswobodzić się z pułapki albo przynajmniej uczynić swoją sytuację dogodniejszą. Wskazuje palcem na Teresę Murachową:

—

To ona! Ona mi kazała.

Teresa wykazuje najgłębsze oburzenie:

—

Jaka podłość! Ja tylko powiedziałam, żeby dała morfinę, bo cóż można było jeszcze pomóc tej nieszczęśnicy?

Nie zdążyłam podać dawki, bo zadzwonił doktor Lebioda, że mój mąż zaniemógł. Wprawna pielęgniarka nie potrzebuje nawet itakiej wskazówki, sama wie, ile można dać morfiny. A w ogóle na

pewno tak było, jak pan kapitan mówi. Krychowa musiała ją poznać, bo przez nią przekazywała dziecku paczki i pieniądze dla personelu. A ona na pewno kradła te paczki i pieniądze.

—
Nieprawda — krzyczy rozpaczliwie Urszula.

Ale Kozłowicz nie zwraca już teraz na nią uwagi. Koncentruje tę uwagę na Teresie:

—
Skąd pani o tym wie?

Teresa wzrusza ramionami:

—
Można wysnuć takie domysły chociażby z tego, co pan kapitan tu mówił.

Urszula jednak domaga się natarczywie, by ją wysłuchano:

—
Panie kapitanie! Oni tam te dzieci głodzili. Głodzili tak, że umierały. Nawet bez zastrzyków. Cały personel dzielił

się tymi paczkami i pieniędzmi. I ona też brała. Też to robiła. Krychowa ją też poznała. Powiedziała mi, zanim dałam jej ten zastrzyk. Wtedy, kiedy ona podeszła do telefonu...

Znikło gdzieś bałwochwalcze uwielbienie dla pani doktor, naszej kochanej pani doktor. Nie używa już Urszula tego zwrotu, mówi stale „ona”. Tak musiała myśleć o Murachowej przez całe lata, „ona”, gdy bawiła ją myśl, że od jednego jej słowa zależy pozycja, jaką Teresa potrafiła sobie w Kramnie stworzyć. Im wyższa była ta pozycja, tym skuteczniejszy szantaż. Pomagała więc jak mogła w stwarzaniu nimbu.

Piotr nie może powstrzymać się od okrzyku oburzenia:

—
Teresa, ty?! Lekarz?!

Kozłowicz musi wyprowadzić go z błędu:

—
Jaki z niej lekarz? Długoletnia praktyka. W Guterhofie była starszą pielęgniarką, o, tu masz zdjęcie: Inga Krug.

Dobra pielęgniarka umie nieraz tyle co lekarz. Dlatego łatwo jej było zrobić ten ostatni rok medycyny, razem z tobą, kiedyście się poznali. Nie zastanawiało ciebie, że czasami pyta o takie rzeczy, które się wie po czterech latach studiów medycznych?

—
Tak — potwierdza Piotr — dziwiłem się. Ale mówiła, że na tajnych studiach tego czy tamtego nie uczono. Więc ją doksztalałem.

Teresa jest blada, ale trzyma się z całych sił, to widać.

Uśmiecha się od czasu do czasu wzgardliwie.

—
Skąd pani wzięła papiery, którymi posługiwała się pani od czasu wojny?

Teresa postanawia nie odpowiadać, ale Urszula skłonna jest do wynurzeń:

—
Po takiej jednej, którą hitlerowcy zastrzelili, kiedy uciekaliśmy spod Katowic. To była studentka medycyny spod Lwowa, wywieziona na roboty. Miała gdzieś te papiery schowane czy zaszyte, a ona o tym dowiedziała się przypadkiem.

Teresa po raz pierwszy odzywa się nie pytana:

—
Powinam była zabić przede wszystkim ciebie.

Urszula zachowuje się tak, jak gdyby Teresy tu nie było:

—
Nas Niemcy chcieli też zastrzelić, ale uciekłyśmy.

Dlatego uciekłyśmy do

Polski, na wschód, a nie do Niemiec. Oni tam byliby nas wykończyli.

—
Jako niewygodnych świadków — uzupełnia Kozłowicz —

wielu ich pomocników spotkał ten los. A która z was zrobiła napad na Jurka Blinę?

—
Ona! — Urszula znów oskarża. — Ja już podpatrzyłam, gdzie on to chowa. Byłabym mu
zwyczajnie w nocy podkra-

dła.
Ale obie widziałyśmy, jak sierżant rozmawia z Jurkiem i jak Jurek uciekł mu przez strych, i jak wszedł do komórki. Była wtedy u mnie. Chciałam ją zatrzymać, ale nie dałam rady. Ona przestraszyła się. Widziałam, jak brała siekierkę do ręki przez szmatę, co tam leżała. Potem uciekła pod okapem drwalki i przez sień, bo sierżant ją spłoszył. I ona nie знаła skrytki Jurka, musiałaby długo szukać. A ja wiedziałam, że to pod belką stropową.

—
Jak mogłaś zranić to dziecko? Po co to zrobiłaś? —

pyta Piofr z rozpaczliwą determinacją. Jest okrutny wobec siebie samego. Chce wiedzieć
wszystko do końca.

Teresa znów milczy, Kozłowicz musi ją wyręczyć w odpowiedzi;

—
Pani Murachowa grała na zwłokę. Zabity czy ciężko ranny chłopiec nie dostarczy brakującego nam
dowodu jej winy.

Liczyła na to, że zanim znajdziemy ten schowany skrawek tygodnika, jeszcze raz przekupi Urszulę,
żeby go dla niej wykraść. Wołała być w ręku Urszuli niż w naszym. Mogliśmy wprawdzie
sprowadzić drugi komplet pisma, ale to by potrwało co najmniej kilka dni. Gotów jestem założyć się,
że w tym czasie próbowałaby pani ucieczki.

Piotr zbliża się do Teresy, bierze ją za rękę, mówi błagalnie:

—
Tereso! Zaprzecz! Zaprzecz choć jednym słowem.

Powiedz, że to nieprawda. Może to wszystko było nie tak.

Chciałbym ci pomóc, bronić ciebie, ale jak mogę, jeżeli ty nic nie mówisz?

Teresa wrywa rękę z jego palców

gwałtownym ruchem, patrzy na niego ze wstrętem i pogardą.

Cedzi przez zęby:

—
Odejdź. Głupiec.

—
Daj spokój, Piotrze — wtrąca się Kozłowicz — to doprawdy nie ma sensu. Czy nie rozumiesz, że
byłeś zabawką pani Ingi Krug, gdy nudziła się w Kramnie? Byłeś jej tu potrzebny, żeby miała dowód,
iż jest istotnie lekarką, byłeś świadkiem jej studiów. A potem... Potem najpierw na pewno
namawiała ciebie do zatuszowania sprawy śmierci Muracha.

Jeszcze później, w rozmowie starała się zwrócić moje podejrzenia na ciebie. Nigdy ciebie nie kochała. Wiem, że to ciebie boli, ale musisz się z tym pogodzić.

Nie wiadomo, czy Piotr tak łatwo pogodzi się ze świadomością, iż został okrutnie oszukany. Nie wiadomo też, co myśli

o tym wszystkim Inga Krug, która przywłaszczyła sobie imię i nazwisko zabitej dziewczyny. Leniwie sięga po kawę, lecz w roztargnieniu myli się: w jej ręku znajduje się nie szklanka, z której już piła pachnący, ciemny napój, dodający ducha i energii, lecz filiżankę, którą wspaniałomyślnie ofiarowała na dzisiejszy wieczór siostrze Urszuli. W kącikach ust pojawia się wyraz zaciętej nienawiści, w jasniebieskich oczach pobłyskuje zimna, napięta uwaga, a może też coś więcej. Jak gdyby drwina. Ten wyraz jej oczu każe Kozłowiczowi mieć się na baczności. Zamyka rękę, niosącą do ust filiżankę w mocnym uścisku swoich palców:

—
Nie, proszę pani. To nie pani kawa, ale siostry Urszuli. Jej też nie pozwolił- bym tego wypić. Nie wiem, czego tam pani dosypała, czego dołała tym razem, cyjanku czy atropiny, to wykaże analiza chemiczna. Tak łatwo byłoby zwalić wszystko na istotę, która już nie przemówi, prawda? Ale nie chcę feż, żeby pani wymknęła się nam tak łatwo. To nie jest ten rodzaj kary, który się pani należy. Poza tym, w sprawie Guterhofu, potrzebne nam będą pani zeznania. To nie jest pani wyłączna prywatna sprawa. My nie osądziliśmy jeszcze wszystkich zbrodni ludobójstwa, nie wszystkie nawet znamy.

Każde światełko w tych sprawach pomaga nam rozproszyc ciemności, w których kryją się jeszcze tacy ludzie jak pani.

Odmierzamy ciągle jeszcze spraw-
wiedliwość kroplami, kroplę po kropli jak ostre lekarstwo. Ale my jesteśmy bardzo uparci, my, którzy chcemy ocalić prawo człowieka do życia.

Filiżanka, do połowy napelniona kawą, upadła na podłogę i rozbiła się na drobne okruchy.

KONIEC

Table of Contents

